

Waldemar Andrzej Hładki

Wyczerpane Słowa



Wiersze

Kraków 2025

Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XXXI Nr 4(356) Żelów, kwiecień 2026

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

W numerze:

Wiersze: ks. Wacława Buryły, Ignacego S. Fiuta, Marii Gibały, Andrzeja Gnarowskiego, Kazimierza Kochańskiego, Marii Kogut, Iwony Pinno, Bogdana Stangrodzkiego, Jerzego Utkina, Stefana Michała Żarowa

Andrzej Dębkowski – *Wrastanie w światło.*

Pożegnanie Igancego

prof. Maria Szyszowska – *Filozofia codzienności* (234)

Stefan Jurkowski – *Wielki poeta Marek W.*

Joanna Friedrich – *Me: Hanami*

Andrzej Walter – *Szumowiny i błazny*

Mirosław Osowski – *Moja walka z rakiem* (79)

Adam Lizakowski – *Czy poeta Czesław Miłosz był kosmitą?* (9)

Mirosław G. Majewski – *Buszujący w antykwariatach* (10)

Jerzy Stasiewicz – „*Warstwy*” Artura Sczesnego
Czego nam dziś brakuje – z **Markiem Wawrzkiwiczem** rozmawia **Eugeniusz Kurzawa**

Dariusz Pawlicki – *Pochwała sporządzania konfitur samemu*

prof. Anna Pituch-Noworolska – *Puste katedry*

Lech Nawrocki – *Miniatury*

Eugeniusz Kurzawa – *Niepowtarzalna „Poezja”*

Paweł Kuschczyński – *Przywoływanie pamięci*

Paweł M. Wiśniewski – *Podróż tam, gdzie nas nie ma*

Witryna

Opinie

Noty

Poglądy

Informacje

Kronika

Konkursy

Szkice

Eseje

Publicystyka

Felietony

Krytyka

Filozofia

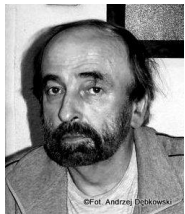


Z cyklu: Pejzaże Polski

Fot. ©Andrzej Dębkowski

Kronika

Zmarł prof. Ignacy S. Fiut

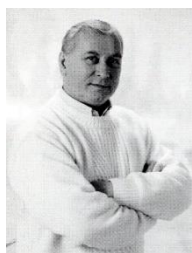


19 lutego 2026 roku odszedł **prof. Ignacy S. Fiut**. Ignacy Stanisław Fiut urodził się 12 listopada 1949 roku w Nowym Sączu. Poeta, krytyk literatury, prasoznawca, profesor filozofii w Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie od 1997 roku. Ukończył biologię, a potem filozofię na Uniwersytecie Jagiellońskim. Doktorat w 1984 roku, habilitacja w 1996. Pracę na AGH rozpoczął w 1975 roku, był kierownikiem Zakładu Filozofii. Członek Stowarzyszenia Twórczego Polart, członek redakcji i Rady Naukowej „Hybrydy”, od 1990 roku należał do Związku Literatów Polskich w Krakowie. Członek zespołu redakcyjnego „Gazety Kulturalnej”.

Więcej na stronach 15-16.

Fot. Andrzej Dębkowski

Zmarł Kazimierz Arendt



iKS. Miał 75 lat.

22 lutego 2026 roku zmarł **Kazimierz Marian Arendt** – poeta, działacz kultury, członek Związków Literatów Polskich, a także wieloletni członek Stowarzyszenia Autorów Polskich oraz Stowarzyszenia Autorów ZAiKS. Miał 75 lat. Urodził się 3 sierpnia 1950 roku w Łodzi. Dzieciństwo i wczesną młodość spędził w Państwowym Domu Dziecka (1957-1964), a następnie był wychowankiem Ośrodka Szkolno-Wychowawczego w Łodzi (1964-1968). Ukończył Liceum Ekonomiczne. Jego droga zawodowa była różnorodna – pracował jako robotnik transportu, konserwator, magazynier, zaopatrzeniowiec, instruktor, a także kierownik działu gospodarczego i transportu. W latach 1979-1980 przebywał w ZSRR, w obwodzie kaliningradzkim, gdzie uczestniczył w budowie ropociągu „Surgut”.

Debiutował w 1977 roku na łamach czasopisma „Do Rzeczy”. Jego utwory publikowane były również w „Czerwonym Sztandarze” w Wilnie. Przez kilka lat związany był z grupą literacką „Wiadukt”, był inicjatorem i redaktorem miesięcznika „Biblioteka Wiaduktu”. Przez długi czas współpracował z miesięcznikiem społeczno-literackim „Okolice”, pełniąc funkcję redaktora.

Był autorem tomików poetyckich „Rozłóżka z Kasią” oraz „Poczta Polska” (wydane dwukrotnie). W 1984 roku został członkiem Stowarzyszenia Autorów Polskich, a od 1986 roku należał do ZAiKS. Od 1990 roku prowadził własną działalność gospodarczą, łącząc

aktywność zawodową z twórczością literacką i działalnością społeczną.

Szczególne miejsce w jego dorobku zajmuje tom „Zmowa wierszy”, wydany przez Wydawnictwo ASTRA z Łodzi. Jak pisał w recenzji Henryk Pustkowski, tytułowa „zmowa” niesie w sobie zarówno znaczenie wspólnoty i twórczego porozumienia, jak i groźnego wykluczenia. Poezja Arendta wyrastała z osobistych doświadczeń – z dzieciństwa naznaczonego poczuciem odrzucenia, ale także z późniejszej potrzeby powrotu i pomocy innym. Autor nie tylko powracał do Domu Dziecka w swoich wierszach, lecz również wspierał go jako darczyńca.

W jego twórczości obecne były tematy społeczne, refleksje nad losem ludzi dotkniętych przemianami ustrojowymi, liryczne pożegnania przyjaciół, zaduma nad śmiercią, ale też czułość wobec codzienności i rodzinnych wartości. Potrafił łączyć gorycz doświadczenia z delikatnością słowa i subtelnym humorem.

Kazimierz Arendt pozostanie w pamięci jako poeta autentyczny, wrażliwy obserwator rzeczywistości, człowiek głęboko zaangażowany w życie literackie Łodzi i kraju. Jego twórczość – naznaczona osobistym przeżyciem i moralną refleksją – pozostaje świadectwem życia, które mimo trudnych początków potrafiło odnaleźć sens w słowie i wspólnocie.

[ad]

Fot. Jarosław Flanowski – Studio Fotografii Cyfrowej

Konkursy

III Ogólnopolski Konkurs Poetycki „O Laur Adama – 2026”

Organizatorzy III Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „O Laur Adama – 2026”: Adam Jarubas – Poseł do Parlamentu Europejskiego i Stowarzyszenie Lokalnych Liderów PONIDZIANIE w Pińczowie.

Cel konkursu: inspirowanie do aktywności twórczej, promowanie talentów literackich, popularyzacja twórczości poetyckiej.

Warunkiem uczestnictwa jest nadesłanie zestawu 3 wierszy. Utwory nie mogą być wcześniej publikowane ani nagradzane w innych konkursach. Jury oceni jeden z nadesłanych wierszy.

Tematyka i forma utworów jest dowolna. Prace konkursowe powinny być opatrzone godłem słownym (pseudonimem), a do nich dołączona koperta z tym samym godłem w adresie, zawierająca w zaklejonej kopercie kartkę z danymi autora (imię i nazwisko, adres do korespondencji, e-mail, ewentualnie numer telefonu). Prace należy przesyłać w 4 egzemplarzach.

Warunkiem uczestnictwa w Konkursie jest dołączenie podpisanego przez autora oświadczenia o następującej treści: „Oświadczam, że zapoznałem się z treścią i akceptuję

w całości regulamin III Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „O Laur Adama – 2026”. Wyrażam zgodę na przetwarzanie danych osobowych autora pracy konkursowej w zakresie i celach wskazanych w regulaminie.

Jury powołane przez organizatora w składzie: Adam Gwara, Adam Ochwanowski, Adam Ziemianin oceni nadesłane utwory oraz przyzna następujące nagrody i wyróżnienia: I – 2000 zł; II – 1500 zł; III – 1000 zł oraz trzy wyróżnienia po 500 zł.

Nagrodzone i wyróżnione prace będą publikowane na plakacie poetyckim, w „Gazecie Kulturalnej” i na różnych portalach literackich

Lista zwycięzców zostanie opublikowana na stronie: www.jarubasadam.pl i na portalach kulturalnych

Prace konkursowe należy przesłać do dnia 15 maja 2026 roku (decyduje data stempla pocztowego) na adres: Biuro Poselskie Adama Jarubasa 25-363 Kielce, ul. Wesola 47/49, z dopiskiem „O Laur Adama” lub dostarczyć do siedziby organizatora.

Patronem medialnym Konkursu jest „Gazeta Kulturalna” i Radio z Qlturą, a patronem honorowym – Warszawski Klub Przyjaciół Ziemi Kieleckiej.

Laureaci Konkursu zostaną powiadomieni o miejscu i terminie wręczenia nagród drogą mejlową bądź telefoniczną. Organizatorzy nie refundują kosztów dojazdu na uroczystość wręczenia nagród.

Pytania dotyczące konkursu należy kierować na adres: ochwanowskiam@interia.pl lub na numer – tel. 660 271 154.

Organizatorzy nie zwracają nadesłanych tekstów zastrzegając sobie prawo do publikowania i cytowania w mediach nagrodzonych i wyróżnionych wierszy bez dodatkowej zgody autorów i bez honorarium autorskiego.

Ochrona danych osobowych:

Administratorem danych osobowych przetwarzanych w ramach konkursu jest Stowarzyszenie Lokalnych Liderów PONIDZIANIE w Pińczowie

W ramach konkursu Administrator danych przetwarzał będzie imiona, nazwiska, email oraz adres do korespondencji uczestników.

Dane wymienione w ust. 2 przetwarzane są na podstawie zgody. Zgoda ta jest dobrowolna i możliwa do wycofania w każdym czasie. Wycofanie zgody nie wpływa na zgodność z prawem przetwarzania przed jej wycofaniem.

Celem przetwarzania danych jest identyfikacja uczestników turnieju oraz umożliwienie powiadomienia laureatów o przyznanych nagrodach.

Dane uczestników konkursu będą przetwarzane przez czas trwania konkursu i usunięte nie później niż po upływie 3 miesięcy od dnia jego zakończenia.

Autor ma prawo dostępu do treści danych, prawo ich sprostowania, usunięcia, ograniczenia przetwarzania, prawo do przenoszenia danych, prawo wniesienia sprzeciwu przeciwko ich przetwarzaniu.

Andrzej Walter

Szumowiny i błazny

Ryby zawsze psuły się od głów, a głowy dziś, jak wiemy, (...) od parady, a jakże. Lśnić i paradować, błyszczeć i połyskiwać, za wszelką cenę. Nikt się dziś nie przejmuje, zobowiązaniami tak zwanego szlachectwa, nikt się nie martwi skrupułami, sumieniem, reakcją ludzką czy społeczną. Cel uświęca środki, a celem jest ów własny ryj wystawiony na pokaz dalece nieosiągalny innym, zwykłym szmertelnikom, do których ów ryj wbrew pozorom czuje dalece idącą pogardę z lekceważeniem. Oczywiście ubiera się to w różne kryjące fatalaszki, pokrywa patyną tłumaczeń czy uzasadnień, a czasami nawet i te skrupuły pozostawia się poza katalogiem i brnie się dalej – byle naprzód, byle szybciej, byle wyżej, byle coś tam, gdzieś o „nim” napisano... Wielki, znakomity, znamenity, piękny i ogromny, niepowtarzalny... Mister X – zero podniesione do potęgi zawsze pozostanie zerem, ale w tym świecie, w tym, który oglądacie za oknem to już nie działa. Dziś zera zostają premierami, prezydentami, profesorami, gwiazdami, ba, współczesnymi (a fuj) „autorytetami”...

A to tylko **szumowiny i błazny**.

Pozery i narcystycznie zachadzeni osobnicy za nic mający bliźniego swego, traktujący go jako nawóz społeczny do swoich knońców i celów. Złotouści niejednokrotnie wodzireje czasu, okoliczności, miejsc i wydarzeń. Jakże smutna jest taka rzeczywistość. Jakże smutny jest też wianuszek pożytecznych idiotów występujących w roli wielbiących i klakierów, wstępnie gratulujący, nawet niewidzący czego i dlaczego, i po co, i w imię czego. Niewiedzący sensu, kontekstu, podtekstów i szerszej perspektywy swoich gratulacji, że jest to przecież też akt świadectwa, to jakby stawianie podpisu pod zeznaniem, cyrografem, donosem, to jakby dołączenie do hucpy, świętokradztwa, zdrady czy innego szubrawstwa. Świat pełen pożytecznych idiotów, bez przemyśleń, własnych poglądów, bez ideałów, idei, nadwornych głupków, których również najłatwiej uczynić: szefami, prezesami, naczelnymi czy innymi łatwo sterowanymi pionkami, aby ci, którzy chcą naprawdę decydować o obliczu tej ziemi mieli w ich postaci zderzaki, bezpieczniki, wentyle bezpieczeństwa, względnie łatwowierne kozły ofiarne.

Powie ktoś, znów Walter pluje jadem, znów przejawskrawia, znów szuka dziury w całym. W całym? Zapytam?! Głośno i donośnie. Kiedyś mówiliśmy, że nastąpił upadek autorytetów, od kiedy kapciowego uczyniono metropolitą, od kiedy prezydentami zostają aktorzy, bokserzy czy szemrani biznesmeni, a nawet niemal *capo di tutti capi* jak w jednym z krajów bałkańskich... Dziś to już faza dalsza, ta po upadku, bo teraz na piedestały wspinają się już śmieci, gnidy, te osławione zera, które dopadły kość i kości już nie puszcza. Ci ludzie są wśród nas. Fałszują rzeczywistość, przymilają

się, ocierają się o nas, ich usta, oczy i dusze przepelnione są kłamstwem i podstępem – w cele realizacji utrwalonego celu, a tym celem jest ich świecenie nieustająco na pomniku za życia, na piedestale, na tak zwanym topie. Potencjalni zwycięzcy, nobliści, laureaci, wielcy eksperci, mędrcy, rządzący i dzielący. Oni – imperatorzy, władcy, poza wszelką krytyką, poza podejrzeniami, poza czasem i nieśmiertelnością. Omnibusy i geniusze.

I później dziwimy się, frasujemy, że świat zmierza w takim, a nie innym kierunku. Zmierza do katastrofy. Nie da się ukryć. Jak z takim przywództwem może zmierzać gdzie indziej? A to tak naprawdę szumowiny i błazny. Groteśka tańcząca z głupotą (i to wszystkich w to zamieszanych – również i mnie), żaloność w kontredansie z nędzą duchową i intelektualną, podparte bywają życiorysem na dwadzieścia stron, poparte wypowiedziami również żaloności, albo i wkręconych w tę grę, oszołomionych i opętanych „wspieraczy” geniuszu tych zer.

Wiem coś o tym, gdyż sam swego czasu dałem się uwieść w naiwności swej dziecięcej kilku takim zerom. Robiłem to szczerze i naiwnie, nie wypieram się. Starałem się widzieć więcej niż było do zobaczenia, w rewanżu otrzymywałem różne korzyści i profity. Dziś mi wstyd, ale łuski z oczu opadły. To się nazywa „nawrócenie”. Zawrócenie z drogi donikąd. Szukanie prawdy. A cóż to jest prawda – krzykną wszyscy. I oni wszyscy, ci, którzy sumienia jeszcze mają, wiedzą.

Zatem Walter nie pluje żadnym jadem, jakże łatwo tak zarzucić, Walter bowiem znowu pisze prawdę, być może swoją, subiektywną, ale tak to widzę, i piszę, opisuję to, co widzę. Szkopuł w tym, że widzi to jeszcze wiele, bardzo wiele ludzi, tylko czasami nie mają odwagi tego głośno powiedzieć. Dysonans wkrada się poznawczy. Ryba jak, już wspomnieliśmy, psuje się od głowy, a głowa dziś... od parady.

Polecam ostatnie teksty Andrzeja Dębrowskiego, które Ten płodzi dziś obficie na Fejsbuku. To wypowiedzi mądre i przemyślane, miło się to to czyta i wzbudza to przemyślenia i refleksje... Jeden tekst dotyczył narcyzmu i Auschwitz, nie będę cytował, przeczytajcie sobie sami, ale zacytuję sam siebie, własny komentarz, gdyż jest tam kilka słów o naszym cudownym środowisku literackim:

No tak. Opisany problem trawi dziś wszystkie środowiska. To problem wręcz społeczny, związany niejako z czasami: pogardy, cynizmu, hipokryzji oraz parcia na szkło. Nasze środowisko literackie jest również tego doskonałym przykładem, nie tylko politycy, choć Ci przekraczają już dalece granice przyzwoitości. U nas mieliśmy ostatnio sytuację, w której jedna organizacja literacka pogardliwie i cynicznie

wypowiada się o drugiej, podkłada nogi, naśmiewa się, szarga imiona. Później jeden taki „prezes honorowy” pewnego oddziału (powstałego z kłótni z innym oddziałem) oznajmia bezwstydnie, że został również do tamtej wrogiej organizacji przyjęty. Ma takie parcie, że aż za parcie. Do tego cały wianuszek klakierów (pożyteczni idioci?), którzy mu z kolei gratulują (w tym pani prezes innego naszego oddziału) i tak to się toczy pisane: zdradą, sabotażem, bezwzględny parciem po trupach samych siebie byle zaistnieć, byle poszerzyć zakres CV, byle się dowartościować. Mój Boże, cóż za zbieranina szumowin i gadów. Czasami się tego wszystkiego wstydzę, a już co najmniej obrzydza mnie to wszystko. Podobno człowiek, to kiedyś brzmiało... dumnie. Niestety już nie dziś. Pozdrawiam...

I na koniec drobny komentarz. Cóż z tego, że ów prezes „honorowy” jest w pewnych klimatach wybitnym artystą, naprawdę, sięgającym gwiazd, skoro cały ten swój talent, owe gwiazdy i artyzm trwoni w alkoholu, narkotykach i przekraczaniu wszelkich granic obrażania i upokarzania innych ludzi, czego niegdyś doświadczyłem osobiście. Cóż z tego, że tworzy piękno, kiedy potem babra się w ekskrementach, smaruje nimi siebie i innych, wszystko mu jedno z kim, i czym, prostytuując się na lewo i prawo, byle po trupach, byle do celu. Okropne i żenujące. Z takich ludzi dziś składają się organizacje twórcze, środowiska artystyczne, ludzie, od których można by było wymagać: poziomu, klasy i ogłady. Uszlachetnionych, bo artyści przecież, ponad poziomy. A szlachectwo zobowiązuje. Kogo? Tych obwiesi?

Zatem to błazny i szumowiny, przy klasie i wzniosłości nawet nie stali. Nigdy. Stoją przy hipokryzji, przy *Dyzmowaniu*, przy wielkiej improwizacji... tylko nie przy sztuce czy pięknie. I takie to mamy czasy: piękno miesza się z błotem, a błoto unurzane w wiecie czym i wszystkim zaczyna pachnieć, wiecie jak, a my powoli się w tym wszystkim... urządzamy, klaszcząc i robiąc dobre miny do jakże złych gier.

Jeśli jest inaczej, lepiej, to napiszcie... spojrzemy sobie razem, prawdzie... w oczy.



Rys. Barbara Medajska

„Warstwy” Artura Sczesnego

Konsekwentnie, niemal z zegarmistrzowską precyzją – jakby chciał nadgonić uciekający czas? – Artur Sczesny publikuje tomy swojej poezji. W 2023 roku ukazały się debiutanckie *Nocne Stwory*. (Miałem zaszczyt odnieść się krytycznie do tych wierszy). Rok 2024 przynosi *Nirwanę*, niezwykle ciepło przyjętą. A w obecnym w ręce czytelników oddaje *Warstwy*. Tom na wskroś „dziennikarski” – poezja konkretna?! – Podzielony na dwie części. „Pierwsza; Pamiętki z dzieciństwa: to próba opisu startu (w trudnych latach sześćdziesiątych, w śląskiej [bytomskiej] rodzinie z jej niedostatkami, czasem nawet patologiami), druga; Zniżanie: to takie stopniowe cofanie [przymykanie] przepustnicy w samolocie, jeszcze nie lądowanie, ale już blisko”. – Tak metaforyczno-enigmatycznie we mgłę tajemnicy, przedstawił treść książki w mailu do mnie poeta ze Śląska Cieszyńskiego.

Pamiętamy poprzednie dwa zbiory wierszy, będących wyrazem młodzieńczego zadziwienia światem, z wyczuwalnym drugim pokładem znaczeń. Gdzie nocą białą od myśli, pragnień i szarych obrazów – „nie widzę brzydoty / mijanych twarzy / odrapanych murów / (...) / Jest czerń nieba / (...) / Mijam cienie bez rysów”. – Pozostaje bohater wszystkich tych spostrzeżeń, przeżyć i tęsknot w mroku swej samotności i niespełnienia. By w świetle dla kontrastu i spotęgowania poczucia alienacji, sceneriach naturalistycznych „nocy gwiazdzistej reflektorami aut”, „jasnego pokoju”, „zapachu kościoła”, rozegrać dramaty strachu, trwogi, rozpaczliwego zdziwienia marazmem codzienności. Uświadamiając sobie jakże trudną do przełknięcia prawdę o niemożliwości odnalezienia drogi do...

Stąd naturalną kolejną rzeczą są *Warstwy*. „Życie mnie obrosło warstwami / przez lata kręcenia się w kółko / jak sękacz / Nie sposób stwierdzić / co jest w środku // Teraz już sam nie wiem // Nie pamiętam”. Zajrzyjmy w znaczenie/głębnię tytułu? Słownik języka polskiego (PWN, Warszawa 1974), w suchej definicji mówi: „każda z części materii wyraźnie wyodrębniających się w postaci równoległych płaszczyzn”. Zauważmy, liczba pojedyncza?! A autor odnosi się do mnogości... warstw nakładających się – co logiczne – jedna na drugą. Z marszu uderza w lirykach warstwa pamięci, chyba najgrubsza. Za nią nieco cieńsze: warstwa bólu i warstwa krzywdy. Kolejno: warstwa czasu i warstwa niewykorzystanych możliwości. I kolejne, wychwytywane intuicją czytelnika uważnego, z dozą intelektualizmu? Albowiem próbę zrozumienia trzeciego tomu poezji Artura Sczesnego winniśmy zacząć od dylematu, jakim jest specyficzny autobiografizm jego twórczości. Tej mieszaniny motywów, obrazów, wspomnień, fascynacji, odrzucenia, traumy, nawet obsesji, których źródła szukać należy – przy pewnym pozorze maski – w osobistej wrażliwości (głębokim odczu-

waniu) człowieka-poety. Artur Sczesny stworzył amalgamat jedyny w swoim rodzaju. Zatem co nie odpowiada faktom, jest poezją z podskórnym przepływem, melodią labiryntu – nie konfabulacją. – Jaką odczuwa / odczuwał przyszły bard... dziś już patrzący ukorzenionym doświadczeniem z gniazda Jasienicy na „Olimp Borowiny”.

To co tam dostrzega, sitem lat wzmacnia swoją metaforę, do gruntu filozoficzną, głęboko egzystencjalną („Babcia Anna”). Z poczuciem wiecznego, niezniszczalnego trwania. W dodatku w sposób osobliwy – tylko sobie przypisany – wychodzi poza znane (przezuwane?) framugi i granice czasoprzestrzeni / widnokregu. Wczoraj na owej metafizycznej cięciwie staje się dniem dzisiejszym, zastępnym w „kamyk(u) / pod podszwają stopy”.

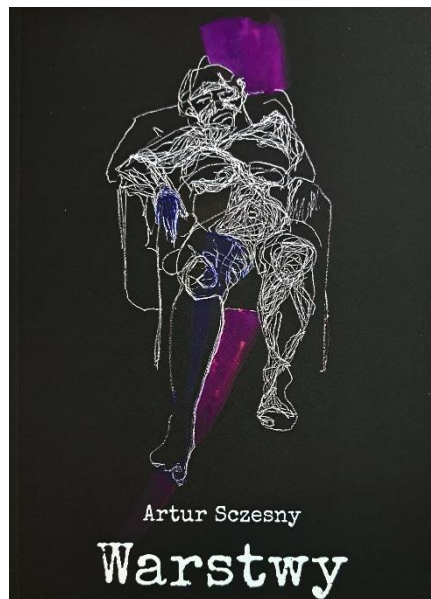
Świat zamknięty w tomie nie jest mroczny jak szyby kopalni, czy kurz unoszący się nad hałdą. Ani świętobliwy niczym sceny biblijne na starych oleodrukach, wiszące w grubych ramach na ścianach babcinych mieszkań. Jest taki jaki jest człowiek – tu mieszanina niemiecko-śląsko-polska w większości wypędzona zza Buga. – Uczciwy, pracowity, bogobojny, skrępowany zamordyzmem, pogubiony, przesiąknięty alkoholem, idący..., ale jakby się cofał? W domu tworzy/przeżywa piekło. Na zewnątrz – brudy pierze się we własnym gnieździe – wzorowy ojciec, przykładna matka. Tylko w dzieciach ten obraz (krwawiąca rana) pozostaje na zawsze! Jak piętno Auschwitz.

Jestem pełen podziwu dla poety (na co dzień lekarza, ortopedy-traumatologa). – Ja liryczne nie boi się wyznać prawdy – jest szczerzy / szczerze, aż do bólu. Dając do zrozumienia co świat zamknięty w słowie ma wiele znaczeń i zaklętych w gardzieli dorastania podtekstów. Nie ma tutaj mitycznej gleby rodzinnej, małej ojczyzny tylko... kilka wyimków z wierszy: „by mi kiedyś nie przyszło do głowy / odgrywać się na starcach”, „dokąd chciałbym powrócić // Na pewno nie / do dzieciństwa / by musieć je przeżywać na nowo”, „Dorastałem skąpany w falach / oceanu alkoholu / a nie utonąłem / nadal nie tonę choć mógłbym”, „Rodzice pomarli po pięćdziesiątce / więc nie muszę ich pielęgnować / zniedołężniałych”, „Moja matka żyła jak umiała”, „W dzieciństwie miałem / zimny i mroczny pokój // Nauczył mnie przetrwania”, „Mój ojciec / był porządnym człowiekiem / Nikomu niczego nie ukradł / no może nam / oddając w domu ćwierć wypłaty”.

Poeta złamał pieczęć wolności, przestając się wstydzić samego siebie! Poezja nakreślona własnym przeżyciem, staje się jego przeznaczeniem, z którego nie musi się tłumaczyć/usprawiedliwiać. Sens zapisu to niesienie światła... – „wszystko trzeba pojąć zawczasu / by móc umiejętności szlifować / aż osiągną mistrzowski poziom” – światła w noc duszy i mrok katakumb bytu, w którym nurza się człowiek. Stąd nieprzypadkowe – jakby z innej drogi – wyznaczenie: „Trzeba mieć dość / ciszy w sobie / by znieść otaczający zgiełk”. Tom *Warstwy* – na pewno – nie jest ostatnią książką Artura Sczesnego? Co sygnalizuje w

„Reliefach”: „Zbieram z dna strumieni / z górskich duktów / kamienie opisane / runami dawnych istnień (...)”. A to już pozwoli ukazać szerzej talent autora.

Jerzy Stasiewicz



Artur Sczesny, *Warstwy*. Wydawnictwo Veridian, Warszawa 2025, s. 92.



Maria Gibała

Podróż nasza codzienna

spakowałam walizkę
wyruszasz w codzienną podróż
przysiadam jeszcze na chwilę
planuję co pierwsze ważniejsze
dźwigam ciężki bagaż
stawiam czoła przeciwnościom
praca porządku teksty
makijaż w biegu przed lustrem
rachunki urzędy schody
miasto sklepy zakupy
w międzyczasie śniadanie
obiad kolacja
kościół rachunek sumienia
przed Bogiem modlitwa
spotkania herbaty kawy
rozmowy o wszystkim i niczym
koszenie trawy grabienie palenie liści
chwilę namysłu przed snem
czy niczego nie pominęłam
czy do jutrzejszej walizki
spakowałam wszystko

Adam Lizakowski

Czy poeta Czesław Miłosz był kosmitą?

(9)



Fot. Andrzej Dębkowski

Jednak to zaczyna się zmieniać, coraz więcej intelektualistów, naukowców, myślicieli, artystów, muzyków, takich jak choćby zespół The Beatles, czy poetę Czesława Miłosza Ameryka po prostu kupuje. Ginsberga czy bitników Ameryka nie kupiła, oni byli tutaj od urodzenia, od dwóch, może trzech pokoleń. Wciąż pamiętali swoich rodziców lub dziadków słabo mówiących po angielsku, oddających pokłon „złotemu cielcowi” przez 10–12 godzin dziennie. Zostali Street poets, ulicznymi poetami, grajkami, klaunami literatury, aby to „wszystko zmienić”, wyrzucić do góry nogami. Ale w zmienianiu „tego wszystkiego” pogubili się.

„Muszę więc po prostu stwierdzić, że jestem jednym z wielu poetów nad Zatoką San Francisco. Większość z nich pisze po angielsku, ale są piszący po hiszpańsku, po grecku, po niemiecku, po rosyjsku. Choćby ktoś z nich miał rozgłos, w codziennych stosunkach z ludźmi jest anonimem, a więc znów jednym z wielu, w innym, szerszym znaczeniu”⁸

Miłosz w Kalifornii był jednym z milionów emigrantów przybyłych ze wszystkich stron świata, z tym wyjątkiem, że wpisuje się w krajobraz amerykańskiej literatury, cywilizacji, pisząc wiersze, eseje, prozę w języku polskim. Jego wyobraźnia stworzona i nasiąknięta kresową, litewsko-polską historią, krajobrazem, przeszłością, europejską kulturą, stworzy twórcę, poetę na emigracji, samotnika, ale i zarozumiałca w wielkiej Ameryce. Większość wykształconych Europejczyków patrzyła i patrzy na Amerykanów z dozą wyższości. W kraju tym nikt nie mówi żadnym innym językiem poza własnym, a Amerykanin czuje się lepszym od sąsiada, bo ma albo szybszy lub droższy samochód, albo szybciej wyciąga colta.

W kraju tym 80% Amerykanów jest przekonana, że starożytni Rzymianie mówili po

angielsku, a 60% obywateli ma trudności ze znalezieniem stolicy na mapie Stanów Zjednoczonych. Kalifornia przepiękna i przebogata z dziesiątkami miast i miasteczek nazwanych na cześć świętych, wcale nie czuła się biblijnym rajem, czy Ziemią Obiecaną dla przyszłości znikąd. Miała i ma wspaniałą przyrodę, naturę, a także swoją historię, wystarczy popatrzeć na mapę miejscowości wokół San Francisco. Poeta o nich słyszał, na pewno je znał, wystarczy wymienić tylko kilka z nich: San Jose, Santa Clara, San Mateo, San Anselmo, San Rafael, San Carlos, St. Helena, Sacramento, San Bruno, i niech będzie na końcu San Pablo, ale nie ostatnie. W całej Kalifornii miast, które mają świętych za swoich patronów jest setki, dowodzi to, że dla Amerykanów Biblia, Pismo Święte Nowego Testamentu jest ważne, ale oni pojmują je inaczej, oni nie są katolikami, oni są protestantami. Miłosz dostrzegał, rozumiał przestrzeń religijną, która nakłada się na przestrzeń geograficzną. W esejach pisał o tym, jak Indianie zostawali pozbawieni swoich ziem, jak księża z XVIII- i XIX-wiecznej Hiszpanii zamieniali całe plemiona indiańskie na niewolników, wcześniej ich skraplając wodą święconą. Działo się to aż do czasów, gdy Meksykanie wygrali wojnę z Hiszpanią, ale to i tak nie polepszyło życia Indian, którzy zostali zdiesiątkowani. W drugiej połowie XIX wieku przybyli protestanci, Anglicy i Niemcy, którzy Meksykanów przepędzili, ale nie pozmiękali nazw miejscowości „na swoje”, tworząc w ten sposób bogactwo i różnorodność przestrzeni geograficznej, w której przyszło im żyć. Miłosz o tym gwałcie pisał, wspomniawszy, sam się czasem czuł Indianinem z Litwy, ale to nie pomagało mu stawać się Amerykaninem, wprost przeciwnie. Hiszpanie – Meksykanie pozostawili po sobie katolicką religijność, do której angielscy purytanie „dorzucili” pracowitość, naukę, która stworzyła technologię, a ta stworzyła tak zwany cywilizację amerykańską. Ta cywilizacja zostanie „prześięknięta” religijnością, wiarą, wieloma wyznaniem, praktykami religijnymi. Biblia obok colta stanie się najważniejszą w domostwie osadników. Te dwie rzeczy będą bardzo potrzebne do odparcia wszelkiego rodzaju pokus, zagrożeń i niebezpieczeństw. Miłosz był jednym z wielu piszących w swoich językach, ale jednym z niewielu rozumiejących, co się stało z Kalifornią, co się stało z Ameryką. Raz jeszcze sam sobie udowodni, nie poecie, ale naturaliście, że w świecie zwierząt i ludzi panują darwinowskie prawa dżungli, prawo pięści, kto szybciej wyciągnie colta, ten przeżyje. W przyrodzie i między ludźmi prawo mówi, że słaby ginie. Natura jest bezlitosnym prawem pożerania słabego przez silnego.

Rosja i Europa w myśleniu o Ameryce

Ameryka lat sześćdziesiątych aż kipi od przemian i zmian, nowo przybyły poeta z Europy fizycznie trzyma się na boku, choć jest od pierwszego dnia bombardowany wiadomościami z nowego świata. Przygląda się temu

wszystkiemu, jak jakimś nowemu plemieniu, trzeba powiedzieć dzielnemu plemieniu, chyba nawet ze zdziwieniem, co się tutaj dzieje, poeta zastanawia się. Tworzy dystans pomiędzy swoim światem wewnętrznym Europejczyka i zewnętrznym nowym światem przyszłego Amerykanina.

Dlaczego Europa jest tak dla niego ważna – bez niej nie umie żyć – przecież zostawił ją – aby dobrze i wygodnie sobie żyć w Ameryce, taka jest prawda. Gdyby tak dobrze mu było w tej Europie, nie przyjechałby do Ameryki, przecież nikt by do tej Ameryki nie przyjechał, gdy tam, gdzie się urodził, wychował, mieszkał, było dobrze. Z każdą napisaną stroną książki w Ameryce, wzmacniał swoje korzenie europejskie. Z czasem okaże się, że wielka Ameryka, Kalifornia – kraina bogactwa wszelkiego, wymarzony teren dla rolników, będzie „wielką pustką”, w której poeta będzie musiał żyć, a raczej funkcjonować przez wiele lat, wypełniając ją pamięcią i wspomnieniami o Europie. „Pustka ze stali, betonu, szkła, z bankami, autostradami i przewspaniałymi uczelniami”. „Pustkę” tę będzie przeciwstawiał Rosji, która będzie bardzo obecna w jego myśleniu o Kalifornii, Ameryce. O Rosji pisał już w Europie, w książce pt. *Rodzinną Europą*, ale w Europie myślał o Rosji jak Polak lub Europejczyk, w Ameryce Rosja będzie widziana i rozumiana przez człowieka z amerykańskim doświadczeniem. Ameryka na nowo uformuje jego proces myślenia, jego umysłowość i spostrzeganie świata względem Rosji. Aby ją lepiej zrozumieć, trzeba lepiej poznać Amerykę, tak mniej więcej myślał Miłosz.

Wpadł w sidła dualizmu, tak jak mu pasowało porównywał Amerykę z Rosją, a Polaków z Litwinami, którzy byli bardziej zaradni życiowo, gospodarni, lepsi. Tak więc Rosja, a nie Ameryka stała się dla poety z Berkeley integralnym składnikiem jego amerykańskiej tożsamości. Rosja mentalna, psychicznie bardziej poddawała się jemu myśleniu o świecie amerykańskiego kapitalizmu, ona stanowiła część pejzażu wewnętrznego poety, uobecniła się w jego twórczości amerykańskiej coraz bardziej. Wszystko to, co było z drugiej strony oceanu takie ważne, poczawszy od przyjaźni, życia rodzinnego, tutaj będzie inne, bo wartości europejskie, nawyki i przyzwyczajenia, wychowanie i tzw. europejskość staną się przeszkodą w rozumieniu Ameryki, w stawianiu się Amerykanem. Rosja i Ameryka nakładają się na siebie, przenikają się nawzajem.

W tomikach wierszy napisanych w latach sześćdziesiątych w Ameryce, tj. *Guciu zaczarowany*, wydany w 1965 roku oraz tomiku *Miasto bez imienia*, wydany w 1969 roku, nieznanymi obrazów Ameryki, jej natury, piękna czy grozy przyrody. Jedynie będzie wspomniana mimochodem Dolina Śmierci, budowle w San Francisco i Oakland.

W wierszu pt. „Kiedy byłem mały”, są zawarte wspomnienia z Litwy, wymieszane z lekturą książek surową rzeczywistością przyrodą Alaski.

cdn.

⁸ Cz. Miłosz, *Widzenia nad Zatoką San Francisco*, Kraków 1989, s. 201.

Kazimierz Kochański

Nie czuję chłodu

Chcesz mi powiedzieć,
że już pora,
i że obfitość ponad miarę...
A obok ciebie
złość, jak sfera.
A obok ciebie wściekłe żale.

Niezagojone
ciągle boli.
Nie daje ulgi cud-mazidło.
Pali... gaszone
siłą woli,
Lecz ty, jak ptaki wierzysz skrzydłom.

I nie dylizans

To nie ten tętent

nie wzbija kurzu
i rzenie (drzenie) drażniące

To nie ten galop

nie niesie pędu
i powiew bezgrzywny

To nie ten mustang

nie ten zryw
kopytami ... w piaskownicy.

Czy mogę prosić

Zapytaj
o cokolwiek
Rozprosz
byle gestem
(pragnęliśmy
spokoju
tak jak nigdy -
przedtem)

Rozbij coś
choćby talerz
Trzaśnij
- proszę - drzwiami
Niech się cisza
udusi
Sznur powiesi -
za nic

Obraż mnie
możesz zakląć
Radio
włącz i ... pranie
Pragnęliśmy
spokoju
jak -
muzyki taniec.

Zastoicyzmy

Zasiedziałem się -
tak mi tu wygodnie

Jesień,
więc trochę chłodniej.

Zaczekałem się -
cóż. Czekam wciąż. Czekam,

Nic-nic
nie przyrzekam,

zapatrzyłem się -
na stare i nowe.

Wspomnij!
Jakimś dobrym słowem.

Zadłużyłem się -
w miłość uwikłałem

z życiem.
Moim życiem. Całym.

Zgryz z niedopałkiem

Trzeba szybko oddychać
- wzrokiem pytasz: po co -
nie trać czasu na jasność
nie odziewaj cieniem

Zawęza się horyzont
- nie zmagaj się z mocą -
trzeba wyczulić tętno
przetrzeć niedośnienie

Trzeba szybko oddychać
- chłonać myśl łapczywie -
nim osunie się ziemia
pustka próżnią stanie

Zawęza się natchnienie
- nie twoje, nie moje -
może zabraknąć wiersza
obumrze przesłanie.

Stefan Michał Żarów

Pieśń o istnieniu

miniony rok pożegnaliśmy z atencją
śnieg przełamany mrozem
zwisły leśne
skończyliśmy oglądać sylwestrowe
mieszmasz
biegnąc po klawiaturze zdalności
Nowy przywitaliśmy z otwartością przedpola
bez wspomnień Starego
zanurzeni w niekonwencjonalny koncert
filharmoników Wiedeńskich

wszystko co przed nami czystą kartą
z pajęczyną ciągłości istnienia
przestrzeń jest nieograniczona
niekiedy zdarza się zamglona ludzką
stagnacją

Pozycjonowanie

warto było wuguzdrać się na obłoki
przetrzeć ukośne promienie
być tam niczym Nostradamus
nad powierzchnią obowiązków
warto było wnikać w reset
odemknąć drzewi
głębnie marzeń

Warsztat losu

jest ta sama rzeka ale innej wody
o poniższym już wiedział archaiczny Grek
odczuwający wschody i zachody dnia
niema takich adekwatnych zdarzeń
jest analogia
podpowieź skojarzeń
nie można zawrócić tam gdzie zapis
utrwalił minione odmierzenie
żeby doświadczyć nowego rozkwitania

Język

język
wyraża akt odniesienia do spostrzegania
zlepek obrazów
mapa blizn
ciąg słów
próba logiczności przekazu
czynność urosła do rangi tożsamości
pęczniące nieustanne oddziaływanie

Metodyka poety

poeta scala okruchy codzienności
nieważkim zabarwieniom
nadaje rytm
podnosi z głębin niepostrzeżenie
rozwarstwia rój cyborgów
skojarzeniowo metodyczny
uchyla podwoje niezauważalności

Czemu nie

poezja to opium dla autora
niechybnie
niekiedy
dla pasjonata
w poczekalni oczekuje na odniesienie
ukryta w niebycie
pomieszkuje pośród codzienności
jak koralik jarzębiny rozpala wyobraźnię
na plakatach zdarzeń
zwykle czeka na rozczytanie
poezja jest tym co otacza i emanuje z nas

Andrzej Gnarowski

Droga do Manaus za rozprzestrzenionym horyzontem

Teresie i Szymonowi Dederkom

Moc ciągle wzniosła udręczona dnem wszechświata
Przebijała się przez dzień oświetlając całą połąć
Nieba z którego dopiero co zniknęło słońce –
(będzie trwało w jej oczach rękach w teatralnym geście
zwisających niczym skrzydła ptaka) oczy domów
Obłaskawiała nikłym światłem noc bezksiężycowa
Słysząc było jak kawki piegoczą za ścianą. Prababka
Teresa na różańcu palce rozgrzewała. Stawiała pasjanse
Gderliwie skrzypiała podłoga do kłeczek w chwilach
Jak w węzłach gordyjskich. List wrzucała do skrzynki
List do Wszystkich Świętych. Wolę życia zapisywała
Na wpół-otwartym niebie. Pradziadek Szymon z brylantem
W krawacie. W bobrowej czapce jakby nosił berylowe berło
W butach z cholewami z sokołem na przedramieniu
Z porcelanową tabakierą –
Przesiąknięty zapachem liści tytoniowych

Kosmaty ogier na koniczysku kładł uszy po sobie
Na ścianach wisiały tandetne obrazy. Pejzaże z chwastami
Brzegi rzeki porośnięte krzewami tarniny. W mrocznym
Krajobrazie parowy i wąwozy. Żółty dym na horyzoncie
Pradziadkowi jasna ślina popłynęła po podbródku

Prababka Teresa wyszła z lustra złotych ram w kapeluszu
Od słońca. Zobaczyła morze i przybój fal wizerunek świętej
Która pierś miała wysoką i tyle w niej, powabu
Niosła ją jak modlitwę na spieczonych wargach
Pod baldachimem nieba zielone gołębie. U Pańskiego
Boku krew na feretronie. Pradziadek Szymon śnieg zmiatał
Z dachu przed grudniowym mrozem. Jak dzięcioł wkuwał się w poszczę
Z dziobem utkanym ze szczerego złota
Na tarasie zakwitła papierowa róża

„potem ich preceptorem został pan Voltaire”
Teutoński las już jest za nimi. Las wysokopienny
Deszczem zasiekany. Pokotem zdławiony. Tłumiony głuszą
Jak salamandry igrające z ogniem palącym. Popielącym krew
Ze świecącym lisem wśród mgły. Strzyżkiem niziołkiem
Z ptaszęcego świata. Ciekące mrówki z oczami jak strach
– Rychła jesień szprotawym palcem wskazywała kanarkowe
Słońce jak gorący stos. W wierzbach rozdartych – języki sów
Pająki nitkami się pętliły. W skalnym uroczysku kamienie
Miały kształty kwiatów gdzie białym próchnem tli się
Przestrzeń. W połyskliwości rosy brzoza współzłamana
Leżąca w trawie. Droga do Manaus nieprzejezdna

PS.

Prababka Taresa zmarła mając lat 102.
Pradziadek Szymon przeżył 90 lat.

Jerzy Utkin

Łaska zapomnienia

wszystko ma swoje miejsce swój czas oraz cenę
lecz Bogu zamiast wiarą płaci się zwątpieniem
od słów pustych i miałkich lepsze jest milczenie

nicość w głowach i w sercach i ta otchłań w oczach
w duszy brzmi melodyjka pozornie urocza

lecz daleka od prawdy kiedy rowek zbrocza

klingi kutej z damastu wypełni posoka
aby spłynąć dyskretnie i uwadze oka
umknąć lecz po tym rana zostaje głęboka

nie gojąc się lecz jątrząc trudno więc zapomnieć
o tym co ciągle boli więcej takich wspomnień
kłębi się mózg rozsadza choć dociera do mnie

że daremne wysiłki łaska zapomnienia
nie jest mi chyba dana pośród serc z kamienia
wiem że słuchać należy wyłącznie sumienia

między ogniem a wodą

między ogniem a wodą w pulsującej ciszy
pojednanie z nicością w przeddzień przemijania
choć większość ma to w dupie słucha lecz nie słyszy
bo przed prawdą bolesną stara się zasłaniać

niepamięcią być może demencja wymówką
doskonałą jak tylko może być choroba
ta przypadłość najczęściej zdarza się półgłówkom
aby kark pochylony i policzki oba

bezmyślnie nadstawiając trwać w duchu pokory
wciąż obłudniej i czekać aż znak rozgrzeszenia
pojawi się na niebie żaden nie jest skory
by wlać choć trochę ciepła w to serce z kamienia

które ciągle ma w gardle przerażony sobą
lub brakiem możliwości wyrażenia skruchy
jak kwiatek przy kożuchu ten odruch ozdoba
ale na głos sumienia pozostaje głuchy

ślepy i obojętny za to głos rozsądku
podpowiada mu szeptem który dobrze słyszy
że niczym nie zawinił więc wszystko w porządku
między ogniem a wodą w pulsującej ciszy

najczulsza

ciągle słyszę jej oddech czuję za plecami
obecność czulej śmierci choć nie trzaska drzwiami

w porywach nagłej furii i nie wykrzykuje
w hysterii żadnych obelg nieustannie czuję

jej dyskretną obecność na krok nie odstąpi
od tego co pisane może ktoś w to wątpi

ale ja z nią pod rękę już nie raz chodziłem
więc nie jest taka straszna choć mi życie miłe

to bać się nie mam czego kiedy na ramieniu
położy dłoń skostniałą pozostaną w cieniu

w jakim byłem za życia niewiele się zmienił
ulotność spraw doczesnych w czasie i przestrzeni

najczulszą ręką odjął stop klatka i cięcie
kadr w biegu zatrzymany w łokciu ręki zgięcie

jest zaledwie zdrobieniem tego co na myśli
ma się gdy z naszej śmierci ktoś inny korzyści

będzie czerpać garściami spadkobierców grono
każe za byle drobiazg płacić sobie słono

Czego nam dziś brakuje...

Z Markiem Wawrzkiewiczem, ostatnim redaktorem naczelnym miesięcznika „Poezja” rozmawia Eugeniusz Kurzawa

– Miesięcznik „Poezja” dobrze się kojarzy tym, którzy pamiętają ukazujący się do końca Polski Ludowej „tołstyj żurnal”, jak nazywali ten typ czasopisma Rosjanie. Mieliliśmy ongiś znakomity, na wysokim poziomie redagowany periodyk. Byłeś jego ostatnim redaktorem naczelnym. W jaki sposób trafiłeś do redakcji?

– W 1973 roku przenieśliśmy się z Łodzi do Warszawy, swego rodzinnego miasta. Początkowo znalazłem zatrudnienie w czasopiśmie „Scena”, a potem zostałem kierownikiem literackim stołecznej Estrady. Gdzieś tak około roku 1975 spotkałem Bohdana Drozdowskiego, ówczesnego naczelnego „Poezji”, który zaproponował mi objęcie w piśmie stanowiska szefa działu... poezji.

– Przyjechałeś z Łodzi, on mieszkał w Warszawie, dokąd przybył, zdaje się, z Krakowa, pracował także we Wrocławiu. Czy znaliście się wcześniej, że wyszedł z taką inicjatywą?

– Poznaliśmy się pewnie na jednym z licznych w dawnych czasach tzw. spędów poetyckich. Nie była to znajomość zażyła, bo obowiązywała wówczas hierarchia literacka, on był twórcą znanym, uczestnikiem słynnej „Prapremiery pięciu poetów” w „Życiu Literackim” w 1955 roku – Białoszewski, Czycz, Drozdowski, Herbert, Harasymowicz – a ja młodym autorem... Potem, w końcu lat sześćdziesiątych, pracując w łódzkiej rozgłośni Polskiego Radia puściłem na antenę duże słuchowisko Drozdowskiego. Tak wyglądały nasze wcześniejsze kontakty.

– Widać miał do ciebie przekonanie. A może zdecydowały jeszcze inne argumenty. Oczywiście przyjąłeś propozycję Drozdowskiego?

– Tak, ale na pół etatu, bo nie zrezygnowałem z roboty w Estradzie. Zresztą z jednej pracy do drugiej miałem blisko, ze trzy przystanki tramwajem. W ten sposób przepracowałem mniej więcej cztery lata. W styczniu 1979 roku objąłem po Januszu Termerze posadę redaktora naczelnego „Nowego Wyrazu” – literackiego miesięcznika młodych.

– Pamiętam ten periodyk. Mekka literackich debiutantów. Choć niektórzy uważali, że to kanał, w który wpuszcza się młodych. Bo oni – zamiast się przebijać własnymi siłami i drukować w jednodniówkach, biuletynach oraz niskonakładowych

almanachach – dostają od razu do rąk forum ogólnopolskie na „wysoki połysk”.

– Nie pracowałem tam długo. Pismo zostało zawieszona w stanie wojennym – a ja wiedziałem, że nigdy już „odwieszona” nie będzie. Straciłem pracę. Jeszcze przez kilka miesięcy płacono mi, o ile dobrze kojarzę, chyba dwie trzecie pensji. W ten sposób dotrwałem do wyjazdu do Moskwy. Otrzymałem bowiem propozycję wyjazdu do stolicy ZSRR jako korespondent polskiej prasy kulturalnej. Wylądowałem tam 2 listopada 1982. Wysłała mnie RSW „Prasa-Książka-Ruch”, czyli największy wówczas koncern prasowy w kraju. To był ciekawy okres w moim życiu, nawiązałem wiele znakomych kontaktów z wybitnymi pisarzami, aktorami, malarzami, muzykami, pisałem o życiu kulturalnym Rosji, jeździłem po tym niepojętym kraju. 27 listopada 1985 roku zmarła moja żona. Zostałem w Moskwie sam z 10-letnim synem. Jednocześnie kadencja korespondenta już się kończyła, trzeba było wracać. Wtedy, a było to w czerwcu 1986 – o dziwo – padła propozycja z Polski, żebym objął kierownictwo „Poezji”.



Fot. Andrzej Dębowski

– Dlaczego się zdziwiłeś? I dlaczego Drozdowski, po kilkunastu latach prowadzenia redakcji „Poezji” – z powodzeniem, dodajmy – odchodził?

– Po kolei. Drozdowski był dobry merytorycznie, przygotował do druku wiele znakomych numerów pisma, ale okazywał się też niezwykle trudnym we współżyciu człowie-

kiem. Wielu ludziom nadepnął na odcisk. Zapewne skorzystano z jakiejś politycznej okazji i zmuszono go do ustąpienia ze stanowiska. Natomiast zdziwiła mnie ta oferta, ponieważ w „Poezji” pracował na etacie naturalny zastępca Drozdowskiego – Krzysztof Gąsiorowski, mój przyjaciel zresztą. Widać na tym przykładzie, że toczyły się wówczas „na górze” jakieś rozgrywki personalne. Ostatecznie 9 października 1986 objąłem funkcję naczelnego.

– Na cztery lata. Niestety – tylko cztery lata, bo na twojej kadencji „Poezja” zakończyła swój byt. Szkoda tak znakomitego tytułu...

– To prawda, żal pisma, zwłaszcza, że upadło akurat w swoje ćwierćwiecze. 25 lat po utworzeniu. Ale zdążyliśmy zrobić sporo dobrego dla literatury polskiej. Po części kontynuowałem to, co zaczął Drozdowski. Ot, choćby numer monotematyczny poświęcony emigracji literackiej. Ukazał się w nakładzie zawrotnym, jak na tego typu fachowe periodyki, mianowicie 25 tys. egzemplarzy. Na biurko spadały mi potem listy od wielu wybitnych polskich twórców mieszkających za granicą. Poeci emigracyjni cieszyli się bardzo, że byli drukowani w kraju. Numer poświęcony Gałczyńskiemu miał jeszcze większy nakład, ponad 30 tys. egz. A mógł być znacznie większy, lecz wtedy występowały już kłopoty z papierem, podlegał on reglamentacji. Pamiętam pomoc Kiry Gałczyńskiej przy tym wydaniu, która udostępniła nam wiele nieznanych materiałów związanych z ojcem. Wyszedł też numer w całości poświęcony Wierzyńskiemu, pojawiały się edycje tematyczne: dwuczęściowa „Anegdota literacka”, pojawił się Eros w poezji itd. I kilka wydań poświęconych prezentacji poetów współczesnych. Po raz pierwszy po wojnie wydrukowaliśmy numer poświęcony Józefowi Łobodowskiemu, z bardzo obszernym wywiadem, którego poeta mieszkający wówczas w Madrycie, udzielił naszemu piśmie. Trzy miesiące przed śmiercią.

– Czytam w starych egzemplarzach, iż po ukazaniu się niektórych wydań tematycznych – a może i każdego? – redakcja spotykała się w warszawskim klubie MPIK z czytelnikami. Na przykład po numerze Iwaskiewiczowskim. A jak to było za twoich czasów? Czy mieliście kontakty z czytelnikami? Takimi żywo reagującymi na świeże publikacje.

– Miewaliśmy spotkania w warszawskich klubach MPIK, ale jeździliśmy też do Katowic,

Kiel, Łodzi. No i cotygodniowo na naszych biurkach lądowały stopy listów i setki maszynopisów z wierszami. Staraliśmy się reagować na propozycje czytelnice, ale i sami zgłaszaliśmy różne, powiedzmy tak, chodliwe czytelniczo tematy. A propos numeru o erotyce we współczesnej poezji: całą paczkę erotyków wysłaliśmy do konsultacji ówczesnej sławie z tego zakresu – Michalinie Wisłockiej. Ale zdaje się, że „była już po przejściach”, gdyż skrzywiła się nieco i uznała, że erotyki oznaczają przyziemne traktowanie miłości, a to przecież wzniosłe uczucie.

– Jaki nakład miała „Poezja”

– Nieży, jak na tak specjalistyczne pismo, w granicach 12–12,5 tys. egzemplarzy.

– Co zatem poszło nie tak? Dlaczego tak dobry periodyk „musiał” upaść wraz ze zmianami politycznymi, z nastaniem kapitalizmu?

– Miesięcznik ukazywał się nakładem koncernu RSW „Prasa-Książka-Ruch”, w ramach którego działało kilka wydawnictw. „Poezję” firmowało Wydawnictwo Współczesne. W nim ukazywała się także Iwaszkiewiczowska „Twórczość”, miesięcznik teatralny „Dialog” i szereg innych, a także popularny tygodnik „Przyjaciółka”, który miał nakład 2 miliony egzemplarzy. I to „Przyjaciółka” utrzymywała pisma podobne do naszego, deficytowe. Kiedy wraz ze zmianą ustroju decyzją Sejmu rozwalono RSW i rozparcelowano wiele tytułów między partie polityczne lub powstające różnego rodzaju twory, jak np. spółdzielnie dziennikarskie chcące przejąć dany periodyk, nie znalazł się nikt chętny do przejścia „Poezji”. „Twórczość”, dla przykładu, wzięło na swój garnuszek Ministerstwo Kultury, na „Poezję” nie było chętnych.

– Smutne... Nie próbowaliście wydać własnymi siłami, nie było inicjatywy ze strony środowiska poetów, Związku Literatów Polskich?

– Owszem, próbowaliśmy. Powołaliśmy do życia Stowarzyszenie „Poezji”, szukaliśmy pieniędzy, wymyśliliśmy inicjatywę wydawania dochodowego Słownika Biograficznego Pisarzy Polskich, nawet ukazała się publikacja z wyliczeniem wszystkich nazwisk potencjalnych „bohaterów”. Niestety, w nowych warunkach pomysł nie wypalił.

– Ale wkrótce ruszyła jednak, z inicjatywą poety i tłumacza Aleksandra Nawrockiego, „Poezja dzisiaj” i przez wiele lat ukazywała się na rynku, choć trudno porównywać ją poziomem do „Poezji”.

– Nawrocki zgłosił się do Gąsiorowskiego i do mnie o zgodę na wykorzystanie tytułu. Nie mieliśmy oporów, żeby ją wyrazić. Ale do tej inicjatywy już się nie dołączyliśmy, uznaliśmy to za inny rozdział, nowy tytuł po prostu. Pojawiły się jeszcze jakieś indywidualne próby w kierunku reanimacji dawnego tytułu,

ale jak widać nic ostatecznie nie powstało. Ta karta została zamknięta.

– Do momentu zmian ustrojowych istniały liczne tytuły ogólnokrajowe pojawiające się w kioskach „Ruch” całej Polski. Co miało sporo zalet, choć oznaczało monopol Warszawy. Narzekano wtedy, że z powodów politycznych nie powstają pisma regionalne i wielkomiejskie. Dziś tego rodzaju druków jest wiele, właściwie istnieją tylko takie, w których jednak autorzy po prostu giną na łamach, bo nie mają wielkich szans wydobycia się z prowincjonalnego getta. Czy to jest lepszy pomysł niż ten wcześniejszy, PRL-owski?

– Znaleźliśmy pewne alternatywne rozwiązanie. Jeszcze gdy żył Krzysiek Gąsiorowski zgłosiliśmy do Ministerstwa Kultury propozycję powołania, właśnie pod egidą tegoż resortu, nowego typu periodyku, który zresztą istnieje od dekad na rynku prasowym, ale dotyczy polityki i życia społecznego. Chodzi o „Forum”. Jest to czasopismo przedruków z prasy zagranicznej. Powstało w okresie niedoborów oryginalnej prasy zagranicznej w Polsce. Innym przykładem może być późniejszy tygodnik „Angora”. Przedrukowuje ciekawsze artykuły z różnych pism krajowych. Sugerowaliśmy więc utworzenie tego rodzaju „Forum” dla literatury polskiej. Czasopismo o nakładzie 15–20 tys. egz., ogólnopolskie, które wychwytywałoby co ważniejsze publikacje – w tym także twórczość oryginalną, czyli wiersze, prozę, tłumaczenia – ukazujące się w niedużych nakładach w periodykach regionalnych, gdańskich, krakowskich, białostockich, suwalskich czy zielonogórskich. Niestety, pomysł nie spotkał się z aprobatą. „Za dużo by kosztował”, usłyszeliśmy.

– Czytam sobie dla przyjemności kolejne numery „Poezji”, od pierwszych z 1965 roku począwszy. Znakomita lektura! Ciekawe, kapitalne niekiedy materiały. Czy wiesz coś o tym, żeby ktoś napisał monografię „Poezji”, czy powstała o niej praca magisterska, doktorska?

– Może czegoś nie wiem lub coś przeoczyłem, ale z przykrością muszę powiedzieć, iż jak do tej pory nie słyszałem, żeby ktoś się wzięł za taki temat. A z pewnością byłoby o czym pisać.

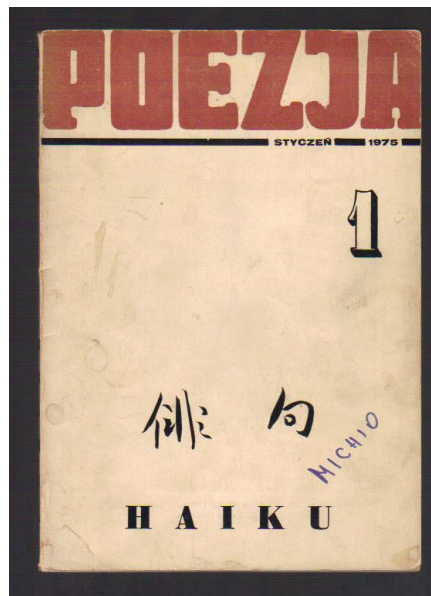
– Dziękuję za rozmowę.

Marek Wawrzekiewicz, ur. 21 lutego 1937 roku w Warszawie. Poeta, tłumacz (włada kilkoma językami), dziennikarz. Absolwent Wydziału Historii Uniwersytetu Łódzkiego. Debiutował tomem wierszy „Malowanie na piasku” w 1960 roku. Autor ponad 30 książek, tłumaczony na wiele języków. Poza kierowaniem miesięcznikami literackimi jak „Poezja” i „Nowy Wyraz” był także redaktorem naczelnym tygodnika „Kobieta i Życie”. Od roku 2003 jest prezesem Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich.

Eugeniusz Kurzawa

Niepowtarzalna „Poezja”

W latach 1965–1990 ukazywał się miesięcznik „Poezja” mający zasięg ogólnopolski. Inicjatorem powołania czasopisma był wybitny poeta Julian Przyboś, jednakże na stanowisko pierwszego naczelnego powołano naukowca z Uniwersytetu Warszawskiego, prof. Jana Zygmunta Jakubowskiego, a Przybośa na jego zastępcę. W 1972 roku nowym naczelnym został poeta Bohdan Drozdowski i był nim długo, do 1986 roku. Wówczas szefem miesięcznika mianowano Marka Wawrzekiewicza, pracującego w piśmie od 1975 (ze sporą przerwą – patrz rozmowa z nim obok) do 1990 roku, czyli do likwidacji tytułu. „Poezja” nie utrzymała się na rynku czytelniczym po wprowadzeniu kapitalizmu, nie znalazł się bowiem nowy wydawca.



Warto zaznaczyć, iż siłę nie tylko „Poezji” lub „Twórczości” – ale także innych znakomych periodyków okresu Polski Ludowej, jak np. „Literatura na świecie”, „Dialog”, „Nowy Wyraz”, także tygodników typu „Kultura”, „Literatura”, krakowskie „Życie Literackie” – stanowiło to, że ukazywały się w obiegu ogólnokrajowym i można je było nabyć w kioskach „Ruch” w każdej polskiej gminie. Publikacja utworów w tychże czasopismach promowała w całym kraju pisarzy, a recenzje – również plastyków, muzyków, aktorów teatralnych. Ich nazwiska, prezentacje dorobku i różnorakie wydarzenia artystyczne znane były jako fakty ogólnopolskie. Także i to się liczyło, że odbiorcy literatury, szerzej – kultury, także automatycznie (dzięki recenzjom, omówieniom) mieli pośredni wgląd w to, co się zdarzyło np. w Rzeszowie, Szczecinie, Katowicach lub Krakowie, a nawet w Suwałkach.

(Dokończenie na stronie 10)

Niepowtarzalna „Poezja”

(Dokończenie ze strony 9)

Obecnie są wprawdzie (czego wtedy brakowało) liczne ambitne czasopisma, nawet kilka w jednym dużym mieście, ale ich autorzy stają się od chwili druku autorami prowincjonalnymi i często poza ten obieg nie wychodzą, gdyż periodyki te raczej nie opuszczają granic metropolii, regionu.



Argumentem za tym, że warto wrócić, a właściwie: wracać regularnie do starej dobrej „Poezji” jest jej niepowtarzalna zawartość. Wolor niepowtarzalności bierze się z dość prostej (i nieodwracalnej) przyczyny: upływu czasu. Pierwszy numer pisma ukazał się w grudniu 1965 roku. Ponad 70 lat temu. W tym czasie żyło jeszcze wielu wybitnych polskich poetów starszego pokolenia. W kraju egzystowali dwaj „skamandryci” – Iwaskiewicz i Słonimski, wszyscy czołowi reprezentanci Awangardy Krakowskiej: Peiper, Przyboś, Kurek, a w Paryżu Brzękowski. Tworzył Jastrun, klasycyznął powoli Różewicz. Wciąż obiecujący był Grochowiak, zauważani zaś Białoszewski, Herbert i Szymborska, a ich twórczość jako żywa bywała komentowana na łamach czasopisma. Toczyły się spory i polemiki. Przyboś w „Zapiskach polemicznych” wyrzeka się Różewicza jako ucznia (1967/6, s. 18), „zropana dla kokieterii”, jak określa. Ale wiersze obu nierzadko otwierają numer pisma, stanowią poniekąd komentarz do rzeczywistości. Dziś nie ma już żadnego z wymienionych! Odeszła epoka. Julian Wiktor Gomulicki, syn Wiktora Gomulickiego – odkrywcy Norwida, szykuje do druku w latach 70. pełne wydanie dzieł zebranych czwartego wieszczka (Polska zabijała się za 11 tomami Norwida). Gdy redakcja decyduje się uczcić 100-letnią rocznicę

śmierci poety ukazuje się obszerne wydanie Norwidowskie z wiodącym udziałem właśnie Juliana Wiktora Gomulickiego. Wyciąga on przed oczy czytelników XIX-wieczne wspomnienia swego ojca, odwołuje się do przykrytych kurzem pamięci losów artysty w paryskim przytułku św. Kazimierza, opowiada o Miriamie, jego poszukiwaniach *norvidianów*, wylicza spadkobierców Norwida niemających pojęcia jakie skarby odziedziczyli i nierzadko „przeputali”. Jeszcze w latach 60. możliwe było odnalezienie nieznanych, zapomnianych, przeczytanych wierszy, pamiętników wybitnych pisarzy. Nie dziw zatem, że na otwarcie numeru (1968/2, s. 3 i 6) znajdujemy cztery wiersze Andrzeja Trzebińskiego, a po nich jego programowe wystąpienie (jako Stanisława Łomienia) pt. „Pokolenie liryczne i dramatyczne”, drukowane w okupacyjnym piśmie „Sztuka i Naród” z 1942 roku. W innym z numerów Jarosław Iwaskiewicz udostępnił wstrząsający list matki Krzysztofa Kamila Baczyńskiego napisany do niego na Stawisko w kwietniu 1945 roku; prawie rok po śmierci syna (sierpień 1944). Tymczasem ona dopytuje Iwaskiewicza czy wie coś o losach Krzysztofa, wszak w czasie wojny odwiedzał Stawisko. Matka nadal poszukuje ludzi, którzy coś może widzieli, słyszeli, coś wiedzą. Tego rodzaju „żywych” materiałów – jak listy, fragmenty pamiętników, literackich polemik – jest w „Poezji” wiele. Jednak tamta perspektywa jest nam już niedostępna, jest zamknięta! Ale zapisana – tym bardziej wydaje się cenna.

Żeby określić w zarysie kondycję znakomitego miesięcznika powiedzmy, iż przez 25 lat ukazało się prawie 300 wydań czasopisma (25 lat razy 12 numerów rocznie, z tym, że wiele było podwójnych), każde liczące ponad 100 stron druku. Początkowo ukazywały się jako – nazwijmy to – ogólne, poświęcone oczywiście poezji; wiersze zawsze otwierały numer, dalej zaś publikowano eseje, rozważania na temat zjawisk artystycznych w kraju i za granicą, zdarzały się tłumaczenia, recenzje tomików, omawiano wydarzenia literackie w kraju. Biała okładka i rzucona w różnych kolorach tytułowa „Poezja”. Potem – i tak było aż do końca – pojawiły się numery kolorowe i monotematyczne poświęcone bądź to autorom, bądź tematom i zjawiskom. Literackim i nie tylko. Zachowało się bowiem wydanie „Poezja i filozofia”, „Poezja i socjologia”, oczywiście podwójne numery norwidowskie, poświęcone Miriamowi, ale i Różewiczowi, Białoszewskiemu, pokazywano polskich emigrantów, poezję erotyczną, „Kresy”, „Barok”, oczywiście nie mogło zabraknąć debiutów („Nowe dorzecza” w 1976 roku). Mocny i odkrywczy był podwójny numer „Białe plamy 1950-1954” pokazujący stalinizm na tle poezji polskiej.

Postanowiłem przekazać wszystkie swoje roczniki „Poezji” w przysłowiowe ręce nauki polskiej z nadzieją, że zostaną wykorzystane. Wcześniej usiadłem i raz jeszcze wieczorami zagłębiłem się w kolejnych wydaniach. Pouczająca lektura. Zachęcam!

Eugeniusz Kurzawa

Dariusz Pawlicki

Pochwała sporządzania konfitur samemu

Nie da się powiedzieć sobie: Dziś, i to już teraz, zacznę pisać taki to, a taki tekst, który będzie o tym, i o tamtym. I z takim właśnie postanowieniem, zasiąść przed biurkiem. Tak, to nie działa... Przynajmniej w moim przypadku. To znaczy: zasiąść można. Można nawet ująć pióro wieczne... Ale na tym koniec. Choć pióro można trzymać i trzymać: póki palce nie zdrętwieją...

Odnośnie źródeł/przyczyn działania pisarskiego wspomnę o Stanisławie Przybyszewskim. On to bowiem twierdził, i to stanowczo, że nie pisze się wtedy, kiedy się chce, ale wówczas, gdy jest się do tego zmuszonym: gdy nadmiar emocji, pragnących się uzwewnętrznić, zmusza do chwycenia za pióro.

Przez dwa tygodnie, nie pierwszy zresztą raz, natchnienie – tak, tak, właśnie ono, omijało mnie. Może nie szerokim łukiem. Może było w zasięgu mej ręki, ale faktem jest, że na mym ramieniu, przez wspomniany okres, nie przysiadło. Wiedziałyby o tym.

Nie odebrałem tego (jeszcze), jako dezaprobaty wobec mnie, jako pisarza, ale tę możliwość parokrotnie zarejestrowałem w mych myślach. A pisarska niemoc, mogąca być tego rezultatem, w żadnym razie mi się nie uśmiechała. W tym miejscu powtórzę za Gustawem Herlingiem-Grudzińskim: „Bardzo bym chciał, żeby coś po mnie pozostało, ale piszę wyłącznie dla siebie. Piszę bo mi to sprawia przyjemność” (z *Najkrótszego przewodnika po sobie samym*).

Z tym, że z doświadczenia wiedziałem, iż natchnienie zacznie dawać o sobie znać/zacznie do mnie przemawiać, gdy tylko w mych myślach pojawi się temat, który mnie zainteresuje. Mało tego, wręcz pociągnie/porwie za sobą. I właśnie w braku owego tematu tkwił problem, który już parokrotnie dawał o sobie znać. Ale, z którym, jak dotąd, zawsze udawało mi się uporać. Czy tym razem też?

Tytuł, z którym spłynęło na mnie natchnienie – to fakt – pojawił się kilka godzin po tym, jak zakupiłem 3/4 kg porzeczek czarnych; od początku przeznaczonych na sporządzenie konfitury. Ale to nie wszystko... Przepuszczam, że coś jeszcze musiało spowodować to pisarskie odblokowanie. W ciągu mijającego tygodnia dwukrotnie dokonałem bowiem zakupu tych samych owoców, z tym samym przeznaczeniem. Bez takiego jednak skutku.

Ograniczony czas, jakim tego dnia dysponowałem, sprawił, że porzeczkami zająłem się dopiero nazajutrz. Pierwszym krokiem było umycie ich pod bieżącą wodą...

Odnośnie smażenia konfitur – tak interpretuję mój przypadek – już sama zapowiedź

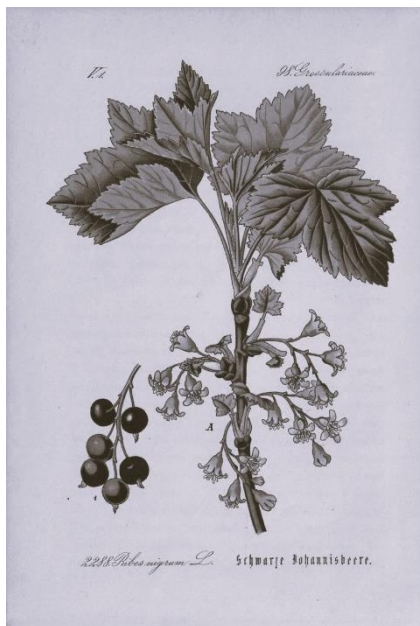
czynienia tego (był nią wspomniany zakup owoców), sprawiła, że natchnienie zawitało do mnie – na moje szczęście – po wspomnianej przerwie. A przybyło z transcendencji. No bo z całą pewnością, nie z immanencji, skoro ja w niej, przez cały ten czas, przebywałem i nadal przebywam. Jeśli chodzi o ową transcendencję, to nie jest wykluczone, że dały o sobie znać boginie sztuki i nauki. A spośród nich, szczególnie bądź wyłącznie, Kaliope, skoro opiekowała się (nie wykluczam, że czyni to nadal) poezją epicką, jak też filozofią i retoryką. Rozważam i taką możliwość, że w miarę upływu wieków pole jej działalności opiekuńczej rozszerzało się. I objęło również eseistykę, jako pokrewną jej początkowym obowiązkom. Lecz biorę pod uwagę i to, że niezależnie od muzy Kaliope, a może we współpracy z nią, dał o sobie znać platoński świat idei. I na wzór owych idei, czyli niestety niedoskonałe, został stworzony cały świat materialny. Jedną z nich może być, nie mająca materialnej postaci, ale oczywiście doskonała, idea konfitury (z jakichkolwiek owoców). W moim przypadku urzeczywistniła się ona w postaci konfitury sporządzonej z porzeczek czarnych. Nie jest ona idealna, gdyż być nią nie może – znajduje się bowiem poza wspomnianym światem idei – ale biorę pod uwagę to, że do doskonałości niewiele jej brakuje. Choć z wykopcowanego przez Platona świata idei, została mi przekazana, telepatycznie, a może za pośrednictwem Kaliope, idea doskonałej konfitury z czarnych porzeczek. Ale podczas owego transferu coś poszło nie tak – inaczej być jednak nie mogło – i przepis dotarł do mej świadomości z jakimś – liczę na to, że z drobnym – felerem. Cóż...

Platon konfitur nie jadał. A to z tego względu, że w jego czasach specjałów nie był (jeszcze) znany. Choć w platońskim świecie doskonałą idea konfitur już istniała. Nie mogło zresztą być inaczej.

Warto w tym miejscu wspomnieć, że Pliniusz Starszy (I wiek n. e.) w swej wielotomowej *Historii naturalnej* (łac. *Naturalis Historia*) pisze o konserwowaniu pigw w miodzie, a rodzajek w moszczu. Być może była to droga, która doprowadziła, niezależnie od kontaktów ze światem idei, do stworzenia konfitur, dżemów, galaretek, powideł, marmolad. Kto wie... Tym bardziej, że istnieją przecież rzeczy, które nie śniły się filozofom. Nawet im.

Jak dotąd, jeśli chodzi o ten szkic, pisałem przede wszystkim o przypuszczalnych/prawdopodobnych źródłach natchnienia, a o konfiturach ledwie napomknąłem. Czas więc poświęcić im nieco czarnego atramentu. Ale nie za dużo. Nie żeby na to nie zasługiwały, ale mój przepis na ich zrobienie, którym zresztą nie mam zamiaru w ogóle się podzielić, jest zawstydzająco prosty. Owo zawstydzenie – jeśli to dobre określenie – pojawia się (i szybko znika), gdy napotykam przepisy na sporządzenie konfitury (nieważne z jakich owoców). A niekiedy ma to miejsce. Rzecz jednak w tym, że prostota, pod różnymi postaciami, w tym także tymi kulinarnymi, pociąga mnie.

Oczywiście nie wszystko można sprowadzić do prostoty. Ale jeśli można, to dlaczego nie korzystać?



Porzeczka czarna (*Ribes nigrum* L.)

Konfitury robię od bardzo, bardzo wielu lat. I jak sięgam pamięcią, dominowały zdecydowanie pośród nich, te z porzeczek czarnych. I muszę w tym miejscu zaznaczyć, że, jak dla mnie, muszą one być słodkie. Nie bardzo słodkie, gdyż ich czarna porzeczkość musi być wyczuwalna, ale słodkie.

Jeśli chodzi o ten konkretny rodzaj konfitur, to sprawa, w moim przypadku, nie ogranicza się do nich jako artykułu żywnościowego. Bardzo zresztą przeze mnie lubianego: często spożywanego podczas śniadań, a niekiedy – i kolacji. Chodzi bowiem także o wspomnienia, w których konfitura ze wspomnianych owoców, tak jak i herbata (lecz także nie każda), odgrywa istotną, wywołującą owe wspomnienia, rolę.

Napomknąłem o przywoływaniu, i to bardzo świadomym, z przeszłości pewnych zdarzeń. Ale jednocześnie w mej świadomości jest mocno odcisnięta taka oto myśl stoicka: żyje się tylko w teraźniejszości. I jest to także moim poglądem. W konsekwencji biorę pod uwagę i to, że gdy przenoszę się myślami w przeszłość (podobnie jest z przyszłością), żyć przestaję, przebywam bowiem w nie-życiu...

W tym wypadku owo nie-życie odnosi się do lat 1990 (1991?) – 2019. Wtedy to bowiem miałem przyjemność ok. 60 razy gościć w drewnianym domostwie w Maćkowej Rudzie, usytuowanym nad Czarną Hańczą. A z jego mieszkańcem, śp. Andrzejem Strumiłą, także w upały, siedząc przy stole w pracowni lub w kuchni, piłem herbatę (zawsze znakomitą). A dodatkkiem do niej, jej uzupełnieniem, była bardzo często, właśnie konfitura z porzeczki czarnej. I jeśli nawet częstszą przystawką było ciasto (pamiętam andruty i piernik), to i tak owa konfitura zajęła miejsce szczególne w mej pamięci. Jej pojawienie się w rozmaitych sytuacjach, prędzej czy później, ale każdo-

razowo, przenosi mnie we wspomniane miejsce na Suwalszczyźnie.

W roku 1946 r., na zlecenie British Council, George Orwell napisał szkic zatytułowany „Kuchnia brytyjska” (za tekst ten – podaję jako ciekawostkę – otrzymał 31 funtów i 10 szylingów*). W tekście zawarł m. in. przepis na marmoladę pomarańczową. W ciągu minionych 5 lat marmoladę taką sporządziłem kilkakrotnie. Jednak nie według tego przepisu, gdyż nie był on jeszcze mi znany.

Marmolada nie jest oczywiście rodzajem konfitury, ale innym produktem spożywczym. Rzecz jednak w tym, że w obu przypadkach chodzi o wykorzystanie, tyle, że w inny jednak sposób, owoców. Przytoczony przez przyszłego autora *Folwarku zwierzęcego* i *Roku 1984* „słodki” przepis prezentuje się tak:

„MARMOLADA POMARAŃCZOWA

Składniki:

8 pomarańczy sewilskich**

2 pomarańcze słodkie

2 cytryny

8 funtów*** cukru do smażenia

8 pint**** wody

Sposób przyrządzania:

Owoce starannie umyć, a następnie osuszyć. Podzielić je na połówki i wycisnąć sok. Usunąć nieco miąższu, potem drobno poszatkować owoce i osobno skórki. Zawiązać pestki w muslinowym woreczku. Włożyć do wody masę uzyskaną z owoców, wlać wyciśnięty i odcędzony sok, włożyć też skórki i pestki, pozostawić na 48 godzin. Następnie umieścić w dużym garnku i gotować półtorej godziny na wolnym ogniu, aż skórki staną się miękkie. Pozostawić na noc, potem dodać cukier, który powinien się rozpuścić, nim zagotujemy wszystko do wrzenia. Gotować szybko, aż do chwili, gdy zaczerpnięta łyżeczką odrobina mieszaniny, wylana na chłodny talerz, zetnie się na galaretkę. Rozlać do ogrzanych uprzednio słoików, które następnie zabezpieczyć papierem”. (tł. Bartłomiej Zborski)

We wszelkich opracowaniach słownikowych i encyklopedycznych – przynajmniej ja miałem takie szczęście – gdy mowa jest o tym, czym jest konfitura, wzmiankuje się o produkcie powstałym – przede wszystkim – z owoców i cukru. Natomiast w książkach kucharskich, ale nie tylko w nich, można natknąć się na przepisy na konfiturę z kwiatów robinii. O konfiturze z zielonych pomidorów, nie wspominając.

Konfitury to przykład produktu, który może zostać sporządzony przez każdego/każdą. Wystarczy owoce (rzecz jasna nie wszystkie do tego się nadają), cukier (ewentualnie jakiś inny słodki produkt/zamiennik), źródło ciepła, garnek i... chęci. Efektem tego jest, m. in., i to, że wie się, co się je.

(Dokończenie na stronie 13)

Puste katedry

Europa sama siebie rozbroiła – nie z broni, ale z przekonañ. Nie potrafi już powiedzieć: „to jest słuszne, to zrobimy”. Potrafi tylko: „zrobmy analizę wpływu społecznego i powołajmy zespół roboczy ds. emocji interesariuszy”. Kiedyś to Europa była centrum świata. Dziś Europa jest terapeutą świata – analizuje, tłumaczy, mediatuje. Zamiast odkrywać nowe kontynenty, odkrywa „nowe formy tożsamości”.

Andrzej Dębkowski – „Gazeta Kulturalna”

W moich podróżach po krajach Europy oglądam architekturę, zwiedzam galerie, podziwiam rzeźby wszystko co potrafił stworzyć człowiek, który na tych terenach żył. Najbardziej fascynują mnie gotyckie katedry – począwszy od wizji architekta artysty, który to projektował i liczył aby łuki wytrzymały ciężar ścian i sklepienia, aby okna wypełniły witrażami wpuszczając światło i nie łamały ścian swoim ciężarem. A potem budowa – wiele lat, wielu ludzi, każdy ze swoim specjalnym zadaniem stanowiący drobny fragment całości. I w końcu skończone dzieło na chwałę Boga i człowieka. Katedry, zwłaszcza te gotyckie wysokie, piękne kolorowe były marzeniem człowieka, ucieczką od twardego trudnego i krótkiego życia do świata, którego obok nie było. Trzeba było wędrować kilka dni, żeby do katedry dojść i choć przez chwilę widzieć niebo to z kazań proboszcza czy biskupa i to z własnych wyobrażeń – piękne i niedostępne, niedosiężne... Minęły wieki, katedry przetrwały a my mamy powszechne, dostępne informacje o wszystkim o czym tylko możemy pomyśleć, komfortowe życie w wygodnych domach, długie i coraz dłuższe życie, poczucie bezpieczeństwa. Równie żłudne jak piękno nieba w katedrach – wystarczy jedna iskra i w zniszczeniu wojennym ginie wraz z naszą kulturą, osiągnięciami i marzeniami o spokojnej przyszłości dla kolejnych pokoleń.



Nie ma gwarantowanego bezpieczeństwa materialnego, nie ma również bezpieczeństwa intelektualnego, filozoficznego. Co to znaczy bezpieczeństwo intelektualne czy filozoficzne?. Oznacza pewne punkty oparcia jako wytyczne oraz jako kryteria oceny

wartości życia człowieka czyli kamienie miłowe naszej etyki i moralności, naszego postępowania wobec siebie naszych bliskich i każdego innego człowieka. Kiedyś podstawowa wytyczną była religia i jej przykazania, nakaz życia uczciwego, dobrego z pewną i nieuchronną karą za złamanie tych zasad. Potem pojawiły się inne wskazania życia dobrego i uczciwego zgodnie z moralnymi i filozoficznymi opracowaniami propagowanymi przez wielkie umysły Oświecenia.



Nadal był to nasz świat, w którym toczyliśmy okrutne wojny o ziemię, przestrzeń do życia, prawo do oceny innych i narzucania naszych (zwycięzców) poglądów, zasad moralnych, filozofii i sposobu życia. Rozwój techniczny i naukowy spowodował, że żyjemy wygodnie z poczuciem komfortu, łatwości dostępu do wiedzy, informacji, pomocy technicznej. Świat, nasz znany świat, skurczył się dzięki szybkim podróżom i pieniądzą, których mamy o wiele więcej niż choćby powojenne pokolenie, wszędzie czujemy się pewnie, bezpiecznie i u siebie... Tak było. Dziś już nie jest.

I tu trzeba wrócić do czasów katedr. Tych pięknych, strzelistych, budowanych latami mających w sobie całą ówczesną kulturę. Obrazową czyli witrażowe, malowane i rzeźbione odniesienia do biblii, ewangelii, istnienia piekła i nieba oraz kulturę międzyludzką, historii świętych, królów, bohaterów tych rzeczywistych i tych mitycznych. Wtedy nie była ona pisana była kulturą symboli, znaków, koloru, gestu. Była również kulturą milczenia. Cisza była naturalną częścią świata zewnętrznego i życia wewnętrznego. Dziś nie ma ciszy jest natłok informacji, możliwość komunikacji w każdej chwili. Zapomnieliśmy, co to jest cisza dająca szansę na refleksję, przeanalizowanie sytuacji, obserwację tego co dzieje się wokół nas, zważenie innych ludzi. A skoro na każde pytanie jest odpowiedź w telefonie, laptopie to po co nam kompas moralny, zasady i

wytyczne, jakieś przykazania, jakieś wskazówki z obietnicą nagrody lub kary. Dziś panuje powszechny pogląd, nie potrzebujemy tego. Efekt – nie ma przestrzegania reguł społecznych, nie ma szacunku dla drugiego człowieka, nie ma hamulców w wypowiedziach. Własne zdanie jest wyrażane jak najbardziej dosadnie z pełnym przekonaniem jedynej i słusznej wypowiedzi. Nie ma refleksji jakie są konsekwencje – dla mówiącego to często powód do dumy a dla podmiotu wypowiedzi często cios załamujący jego życie. Co wyraźnie pokazuje, pustkę życia wewnętrznego i słabość bez kręgosłupa etycznego i moralnego. Nie ma się na czym oprzeć. W takich sytuacjach podpowiedzi z telefonu nie stanowią wsparcia. Brutalizacja życia społecznego wynika nie tylko z wojny okazującej co można zrobić drugiemu człowiekowi i narodowi jeśli stosuje się prawo pięści ale z wychowania opartego na swobodzie bez kontroli i bez korekty zachowania i myślenia z jednej strony a braku samodzielności z drugiej. Europa zgubiła swoje zasady, zrelatywizowała reguły i obowiązki ludzi należących do wspólnot religijnych, tu mam na myśli chrześcijańskich i powoli zanika. Przegrywa wobec islamu w którym ani jedna sura nie została zmieniona od czasu jej napisania i ani jedna zasada społeczna w tym również prawo szariatu i dżihadu nie zostały zmodyfikowane mimo dwóch tysiącleci. To jest ich kręgosłup moralny i oni przez to są silniejsi, zwarci, zjednoczeni. A Europa popęła przedziwne samobójstwo – pieniądź jako wiodący cel i podstawy egzystencji, niezrozumiałe reguły społeczne w tym nieszczęsną poprawność polityczną, feminitywy ubliżające kobietom, roztrząsanie decyzji o wyborze płci, prawa dla tych „innych” mimo, że stanowią mniejszość itp., itd. Przegraliśmy....

Europy jako kulturowego twórcy już nie ma. Katedry są puste.

prof. Anna Pituch-Noworolska



Kozetka (122)**Me: Hanami**

*Don't forget to imagine
the best scenario, too.*

Joanna Friedrich

Wdech.
Wydech.

Tlen i słońce i ten niepowtarzalny zapach. Zapach 19 marca. Przypomina mi się łąka żonkili u sąsiadów w domu mojego dzieciństwa. I nasze przebiśniegi, fiołki, sasanki, tulipany, szafirki, irysy. Rzadka odmiana antonówki. Trzy czereśnie. Śliwka węgierka. Grusza. Morela. To były stare sady i każde drzewo było na wagę złota: odmiany owoców, które rzadko można spotkać obecnie.

Pół mnie, albo 2/3 zawsze mieszka w ogrodzie. Niebieskie migdały pod niebieską kopułą.

Tej zimy złodzona pokrywa śnieżna złała piękną wiśnię za płotem.

Zostało mi wewnętrzne hanami.

W tym roku nie mogę przeoczyć sezonu kwitnienia w arboretum po sąsiedzku i morza zawilców nieopodal.

Natura to genialna artystka.

(Potrzeba posiadania możliwie dużej ilości zwierzątek jest u dzieci wielka.) Mój tata w dzieciństwie sprawił mi w prezencie akwarium z kijankami:

Jakie było moje zdziwienie, kiedy zaczęły wyrastać im łapki! Uwielbiałam obserwować pszczoły w naszej pasiece. 34 ule, łąki, lasy i chatka, w której obłędnie pachniało, jak w miodowej kapsule czasu: Tak musi pachnieć w niebie.

Życie to carte blanche. Ale nasza pamięć wydobywa, co ukryte, niczym sympatyczny atrament. Częstym termicznym wywoływaczem jest wiosna.

Człowiek jest podobno nerwowy w pełni i nadwrażliwy podczas nowiu.

Bycie delikatnym dla siebie i innych nic nie kosztuje, a działa cuda.

Bez delikatności pszczoł by nas nie było. Bez lasów, sadów, łąk i pól. Warto się czasem rozejrzeć, zapomnieć na chwilę o negatywnych scenariuszach i podumać nad pozytywnymi. Nawet najmniejszymi, najkrótszymi; drobiazgami.

Położyć się, usiąść, odetchnąć (można przyjmując pozycję kota) – w plamie słońca.

Tego Wam i sobie życzę.

Para siempre

Juanita

Dziś jeszcze jedną nogą Zima, jak Zimmermann (2026/2027):

Przyjemnego otulania, przyjemnego odślaniania:



Pochwała sporządzania konfitur samemu

(Dokończenie ze strony 11)

A w czasach współczesnych jest to wiedza niezmiernie ważna. Jej zdobycie warte jest chociażby czasu temu poświęconemu.

Napomknąłem powyżej nieco o własnoręcznym robieniu konfitur także w związku z wypowiedzią pewnego współczesnego psychologa, który stwierdził, że obecnie „wychowujemy pokolenie dzieci, które [śmieła]

można nazwać pierdołami. A to dlatego, że nie potrafią nawet wymienić żarówki, gdy się przepali”.

Dariusz Pawlicki

* W 1941 roku tygodniówka (48 godzin, zimą 44) brygadysty kierującego grupą robotników drogowych wynosiła 3 funty i 10 szylingów + 4 szylingi premii wojennej.

** Gatunek gorzkich (właściwie mniej słodkich) pomarańczy uprawiany w basenie Morza Śródziemnego. W porównaniu ze zwykłymi pomarańczami bogatszy w pektyny.

*** Funt – 0,453 kg.

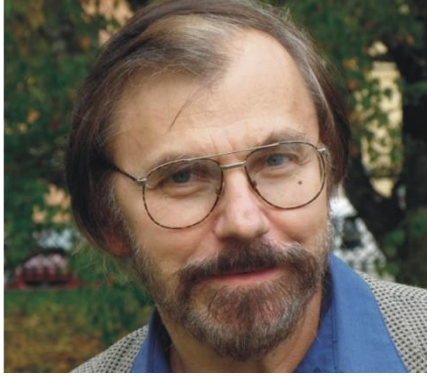
**** Pinta (tzw. imperialna) – 0,568 litra.

**Stefan M. Żarów****Wielkanoc 2026**

Rosa na spłowiących polach
słońce budzi przestrzeń
powraca wiosna
Jajko na stole znakiem nadziei
barwne w śród cieni codzienności
Pamięć w odgłosie dzwonów
w oddechu wiatru
w rozkwicie kwiatów
w kroplach deszczu
Jednak zamglenie na bruku Jerozolimy
gdzie zmruszały krzyż
Cierniowa korona na niemych kamieniach
łzy Matki w kłębowisku kurzu
Cierpienie w napadach ciemności
echo kroków jękiem
pęka Niebo widzi i milczy
Odrodzenie jeszcze nie nadeszło



Listy do Pani A. (213)



Fot. Andrzej Dębowski

Wielki Poeta Marek W.

Droga Pani!

Nareszcie mogę napisać coś optymistycznego. Mamy oto pokój i zgodę w kraju i na świecie, świetnego prezydenta, mądry, uczciwy rząd, ludzie stali się wzajemnie życzliwi, znikli gdzieś złodzieje, pedofile, intryganci. Nastąpiło zbiorowe narodowe pojednanie. Pensje i emerytury są znakomite, sklepy pełne wszelkiego towaru. Taka obfitość wszystkiego, że właściwie nie ma już osób w jakimkolwiek kryzysie. Mogę tak napisać – bo jest prima aprilis. W rzeczywistości... ale nie o tym chciałem.

Czy to znaczy, że nie można mieć nadziei? Powiem Pani w sekrecie, że tej nadziei mam bardzo mało, jeśli chodzi o nasz świat zewnętrzny. Ale oto już Wielkanoc, która niesie nadzieję inną. O ile Boże Narodzenie zwiastuje nam Dobrą Nowinę, o tyle Świąta Wielkanocne odkrywają wielką tajemnicę odradzenia się wszystkiego. Odradza się przyroda, ale również zmartwychwstajemy duchowo my, ludzie. Budzimy się do życia; inni? doskonalsi? Niekoniecznie. Ale w każdym z nas powstaje owa nadzieja na „Lepsze”.

Nasze wyobrażenia religijne, przekonania bywają zbyt dosłowne i nie są w stanie wyrażać Istoty. Ale to nie one są najważniejsze. Najistotniejsze jest ich przesłanie, treść uniwersalna skierowana do wrażliwości każdego z nas w sposób nieuchwytny i bardzo indywidualizowany. A czy owo przesłanie da się pomimo wszystko jakoś uogólnić? Mam wrażenie, że chodzi tu głównie o nadzieję, cokolwiek i jakkolwiek będziemy to rozumieli.

Warto sobie o tym przypominać zwłaszcza z okazji wielkanocnej. Każdego dnia kierujemy się jakąś nadzieją – na sukces, na poprawę zdrowia, na dobrą pracę, miłe wakacje, zdaną maturę...

To ostatnie jest na czasie, bo już za miesiąc mój wnuk Hubert podda się temu ważnemu, choć w moim przekonaniu absurdalnemu, egzaminowi. Obejrzałem na youtube film z jego studniówki. Pomyślałem sobie, po co im jakiś „egzamin dojrzałości”? Przynaj-

mniej ta młodzież, którą obserwowałem na monitorze wyglądała bardzo sympatycznie, dojrzałe i poważnie, a przemówienia, które wygłaszała pod adresem nauczycieli były mądre i serdeczne. Ładnie i harmonijnie zatańczyli później poloneza. Zacząłem się zastanawiać, czy ktoś z nich – co, jak wiemy, zdarza się coraz częściej – wzięłyby sploty i wygarnął do zgromadzonych; albo wbił nóż w piersi stojącego najbliżej koleśka. Jakoś mi to zupełnie nie pasowało. Nawet Hubert by czegoś podobnego nie zrobił, choć napatrzył się na dosyć osobliwego i strasznego dziadunia, i płynie w nim trochę mojej krwi.

Myślę jednak że do wszystkiego trzeba podchodzić z humorem i dystansem. Pamiętam, był rok 1966 i trwało oburzenie władz listem biskupów polskich do niemieckich. Chodzi o słynne powiedzenie „przebaczymy i prosimy o przebaczenie”. Zacietrzewiony półalfabeta Władysław Gomułka wykrzyknął w przemówieniu: „psy szczekają a KARAWAN jedzie dalej!”. Skomentowała to Wolna Europa: czyżby karawan socjalizmu? Mam taką naturę, że i w ciężkich, smutnych czy denerwujących, a nawet niebezpiecznych zjawiskach, widzę coś zabawnego.

Tak, (za)długi czas peerelu bywał nieraz śmieszny i absurdalny, co stało się tworzywem świetnych filmów Stanisława Barei. Choć tamten czas słusznie minął, to nie zabrał głupoty i absurdów. Bareja pokazywał idiotyzm udający nieudolnie mądrość, czym rozśmieszał widza, to jednocześnie budził refleksje. We współczesnych filmikach, zwłaszcza serialikach typu „gdzieś tam za piecem” pokazuje się samą w sobie czysty kretynizm dla rechetu dobrze odżywionej gawiedzi, którą dziś dowodzi cesarz Wetokles.

Chcę teraz przypomnieć Pani o najważniejszym. Oto istnieje prawdziwa, a nawet – nie waham się w tym przypadku powiedzieć – wielka poezja.

Dlatego chciałbym przede wszystkim zwrócić Pani uwagę na „Wiersze wybrane” **Marka Wawrzkiewicza**. Ten tom, liczący ponad czterysta stron, ukazał się z okazji pięknego jubileuszu, mianowicie osiemdziesiątych dziewiątych urodzin Poety. Marek – jak zwykle skromny – nie zechciał sam dokonać wyboru. Pragnął, jak pisze, ustrzec się autorskiego subiektywizmu. Zrobił to za niego Andrzej Wołosewicz. W ten sposób powstał wybór utworów z całego dorobku Marka Wawrzkiewicza. A bardzo ciekawy szkic Andrzeja Waltera o twórczości Marka przybliży najważniejsze tropy tej poezji. Ponadto na końcu książki znajdzie Pani głosy krytyków oraz bibliografię książek Wawrzkiewicza.

Polecam Pani ten wybór jako „lekturę obowiązkową”. To świetna poezja, mistrzowska; dziś już właściwie nikt tak pisać nie potrafi. Ale też nie wszyscy mają taki talent, poczucie dystansu i humoru, jak nasz Jubilat.

Ze wzruszeniem wspominam naszą wspólną działalność w Związku Literatów Polskich, skrzące się humorem rozmowy, wesole biesiady... Szczycę się przyjaźnią z Markiem, i do dziś jestem z Nim w telefonicznym kontakcie.

Czy jednak ktoś jeszcze dzisiaj czyta, choćby najlepszą poezję? Mam wrażenie, że może tak, choć nie jest to sztuka łatwa i masowa. Są ludzie o „normalnej” wrażliwości, do których i Panią zaliczam.

Dlatego też polecam Pani bardzo oszczędny wybór wierszy **Anny Łyczewskiej** pod tytułem „przed chwilą”, który ukazał się z okazji 50-lecia pracy twórczej poetki. Z poszczególnych książek, a jest ich dziesięć, wybrano ... po dwa utwory, w jednym przypadku trzy, a w dwóch cztery. Nie liczę oczywiście rozdziału „Wiersze nowe”; rozdziału także oszczędnego, zawierającego tekstów jedenaście.

Łyczewska z pełną świadomością analizuje wszelkie otaczające zjawiska, a nie tylko kolekcjonuje wrażenia, aby je potem przekazać w powierzchownie konstruowanym utworze. To wszystko, co ją obserwuje staje się zarazem świadectwem głębszego odczytania życia w określonych realiach; rozpoznania własnej podświadomości. Można zaryzykować twierdzenie, że świat obserwowany przez poetkę stanowi istotny fundament rozważań własnej osobowości. Twórczość autorki „Wyznania przedśennego” jest naturalna i spontaniczna, bierze swój początek z różnorodnych inspiracji. Czy będą to sny, jakieś na pozór zwykłe zauważenia; czy też pytania filozoficzno-egzystencjalne – nabierają tutaj bardzo osobnych znaczeń. Poezja Anny Łyczewskiej jest swoistym odkrywaniem tajemnic życia i świata. Oczywiście owo poetyckie odkrywanie bynajmniej nie jest ostateczne. To w sposób artystyczny przedstawiona osobista wersja postrzegania i rozumienia zjawisk. Warto się nad tą artystyczną, zapładniającą wyobraźnię, propozycją pochylić.

Napisała do mnie poetka z Białegostoku, Anna Sołbut. Sprawiała mi niespodziankę, bo nie kontaktowaliśmy się od wielu lat. Kiedyś braliśmy udział w różnych imprezach poetyckich, które organizował Tadeusz Kwiatkowski-Cugow czy Andrzej Grabowski. Potem nasz kontakt się urwał. A teraz Anka przysłała mi wraz z serdecznym listem swój tomik „Mgiełki”. To ciekawe miniatury poetyckie. Jeszcze raz potwierdza się prawda, że poezja nie potrzebuje dużo słów, opisów, dookreśleń, sztucznych metafor. Czasem jakaś refleksja w kilku słowach rzucona na papier staje się głębsza i bardziej wymowna od wyszukanych poematów. Wiele tu lirycznych spostrzeżeń, zamyśleń filozoficznych. Każdy utwór stanowi jakąś odrębną metaforę ludzkiego losu, zawiera egzystencjalne pytania o najgłębsze sensy, mówi o mocy i bezsilności – słowem określa naszą ludzką kondycję zarówno w sensie egzystencjalnym jak i uczuciowym. Można powiedzieć, że to również zbiór wyjątkowy. Bardzo Pani polecam zarówno tom Anny Łyczewskiej jak i Anny Sołbut. Dwie Anny, a każda pisze inaczej, głęboko, indywidualnie na swoją miarę. Życzę Pani dużo refleksji zarówno poetyckich jak i metafizycznych.

Serdeczne pozdrowienia łączę –

Stefan Jurkowski

Rozmyślania



Fot. Andrzej Walter

Wrastanie w światło. Pożegnanie Ignacego

19 lutego 2026 roku odszedł **prof. Ignacy S. Fiut**. Piszę te słowa z niedowierzaniem, jakby język miał się zbuntować przeciwko faktowi, który już się wydarzył. Bo jak napisać, że odszedł ktoś, kto był obecnością? Kto był głosem, śmiechem, ironią, ciepłem dłoni na ramieniu, niespodziewanym telefonem z pytaniem: „Przyjeżdżaj częściej, pogadamy”? Jak napisać, że nie zadzwoni, nie przyśle maszynopisu, nie zapyta z udawaną powagą, czy jednak nie zdecyduję się zrobić u niego doktoratu?

Andrzej Dębkowski

Ignacy Stanisław Fiut urodził się 12 listopada 1949 roku w Nowym Sączu. Poeta, krytyk literatury, prasoznawca, profesor filozofii w Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie od 1997 roku. Ukończył biologię, a potem filozofię na Uniwersytecie Jagiellońskim. Doktorat w 1984 roku, habilitacja w 1996. Pracę na AGH rozpoczął w 1975 roku, był kierownikiem Zakładu Filozofii. Członek Stowarzyszenia Twórczego Polart, członek redakcji i Rady Naukowej „Hybrydy”, od 1990 roku należał do Związku Literatów Polskich w Krakowie. To są fakty. Daty. Funkcje. Tytuły. Można je zapisać, uporządkować, oprawić w ramy życiorysu.

Ale Ignacy nie mieścił się w ramach.

Poznałem go trzydzieści lat temu w Starym Sączu, na jego rodzinnej ziemi. To było spotkanie, które od razu miało w sobie coś z powrotu, choć przecież dopiero się poznawa-

liśmy. Prowadził mnie po mieście z pasją przewodnika i czułością syna. Każdy zaułek miał swoją historię, każda kamienica – wspomnienie, każda ścieżka – ślad dzieciństwa. Mówił o tej ziemi jak o kimś bliskim. Nie jak o miejscu, lecz jak o istocie, która go wychowała, ukształtowała, nauczyła milczenia i mowy.

Ziemia Sądecka była jego pierwszą i ostatnią nauczycielką. Wrastał w nią jak drzewo, którego korzenie są głębsze niż widać. Nawet kiedy mieszkał w Krakowie, nawet kiedy prowadził zajęcia, pisał recenzje, publikował książki, zawsze był trochę tam – na Ziemi Sądeckiej, przy matce, przy wspomnieniu domu, przy zapachu rzeki i wilgotnej ziemi. Mówił o swojej starowinie-matce z czułością, która rozbrajała jego ironiczny ton. W tych chwilach widać było, że pod maską ciętego języka kryje się chłopiec, który nigdy nie przestał kochać miejsca, z którego wyszedł.



Fot. Maria Leżeńska

Spotykaliśmy się często. W Sączu – Starym i Nowym – w Krakowie – w Pod Gruszką, Pod Jaszczurami, na ulicach, w kawiarniach, w bibliotekach. W Warszawie, w Poznaniu. Zawsze gdzieś pomiędzy rozmową a śmiechem. Ostatni raz widzieliśmy się podczas wspólnego udziału w sesji naukowej w Collegium Maius Uniwersytetu Jagiellońskiego. Pamiętam światło wpadające przez wysokie okna i jego skupioną twarz, gdy mówił – jak zawsze jasno, precyzyjnie, z charakterystycznym błyskiem ironii w oku. Nie przypuszczałem wtedy, że to będzie nasze ostatnie spotkanie twarzą w twarz.



Fot. Maria Leżeńska

Ignacy miał dar rozmowy. Nie był to zwykły dialog. To była intelektualna przygoda. Potrafił z jednego zdania wyprowadzić cały esej, z jednego żartu – filozoficzną refleksję, z jednej anegdoty – diagnozę epoki.

Kochałem nasze dyskusje o literaturze, o mediach, o kondycji człowieka w świecie, który coraz szybciej tracił sens. Był prasoznawcą,

ale patrzył na media jak na zwierciadło duszy zbiorowej. Analizował je z precyzją biologa i wrażliwością poety. Miał w sobie oba te światy: ścisłość i metaforę. To rzadkie połączenie.

Zawsze dziwił się, dlaczego nie chce robić u niego doktoratu. Pytał z przekąsem, z lekkim wyrzutem, z uśmiechem, który mówił: „Wiesz, że byłoby warto”. A ja, trochę z przekory, trochę z lęku przed odpowiedzialnością, odmawiałem. Dziś myślę o tym z czułością. Może powinienem był przyjąć to zaproszenie? Może byłoby to jeszcze jeden wspólny rozdział? A może właśnie ta nasza relacja – wolna od formalnych zależności – była piękna dlatego, że była czystą przyjaźnią, rozmową bez hierarchii.

Ignacy miał niesamowite poczucie humoru. Cięty język, który potrafił zranić, ale nigdy nie był okrutny. Ironia była jego tarczą i jego zabawką. Śmiał się ze świata, z instytucji, z literackich mód, z akademickich póż. Ale potrafił też śmiać się z siebie. Mówił o swoich słabościach z taką swobodą, jakby opowiadał anegdotę o kimś obcym. Ten dystans do siebie był oznaką wielkości. Wielu ludzi poważnych nie potrafi być poważnymi bez nadęcia. On potrafił być poważny bez patosu.

A przecież był także wspaniałym poetą. Wrażliwym i uważnym. Kto widział go po raz pierwszy – profesora filozofii, analityka mediów, krytyka literackiego – nie spodziewał się, że pod tą powierzchnią kryje się tak subtelna tkanka. Jego poezja była jak cichy strumień płynący pod kamieniami dyskursu. Przed każdą nową książką przysyłał mi maszynopisy. „Rzuć okiem” – pisał. Jakby to było coś nieistotnego. Jakby nie chodziło o jego najintymniejsze zapisy. Czytałem te wiersze z poczuciem, że dotykam czegoś delikatnego. Że powierzono mi tajemnicę.



Fot. Maria Leżeńska

Był pracusiem. W „Gazecie Kulturalnej” był stałym współpracownikiem prawie dwadzieścia lat. Zrecenzował ponad dwieście książek. Zawsze miał zapas tekstów. Kiedy inni narzekali na brak czasu, on po prostu pisał. Rzetelnie. Uważnie. Z szacunkiem dla autora i czytelnika. Należał do tych krytyków, którzy nie szukają efektownych bon motów kosztem prawdy. Jeśli krytykował – to z argumentem. Jeśli chwalił – to bez taniej egzaltacji.

(Dokończenie na stronie 16)

Wrastanie w światło Pożegnanie Ignacego

(Dokończenie ze stron 15)

Czasem myślę, że był człowiekiem trochę nie z tego świata. Nie dlatego, że był oderwany od rzeczywistości. Przeciwnie – widział ją aż nazbyt wyraźnie. Ale miał w sobie jakiś rodzaj wewnętrznej wolności, która nie pozwalała mu całkowicie wrosnąć w mechanizmy tego świata. Nie dawał się do końca oswoić instytucjom, środowiskom, modom. Był obecny, a zarazem osobny. Jakby stał krok obok, patrząc z uśmiechem i lekkim zdumieniem na to, co inni biorą śmiertelnie poważnie.

Takich ludzi jest coraz mniej.

Dziś, kiedy myślę o nim, wracają obrazy: spacer po Starym Sączu, rozmowa przy stoliku w krakowskiej kawiarni, telefon z zaproszeniem, najpierw koperta z maszynopisem, potem mail, jego charakterystyczny śmiech. Wraca też cisza. Ta, która zapada po wiadomości o śmierci. Cisza, w której człowiek próbuje zrozumieć, że już nie będzie kolejnego spotkania.

A jednak jest coś, co zostaje. Jego słowa. Jego wiersze. Jego recenzje. Jego studenci, którym przekazywał nie tylko wiedzę, ale sposób myślenia. Jego przyjaciele, którzy noszą w sobie fragment jego spojrzenia na świat. Jego ukochana Ziemia Sądecka, która pamięta jego kroki.



Fot. Danuta Sułkowska

Ignacy wrastał w światło. Tak chcę o nim myśleć. Nie jako o kimś, kto odszedł w ciemność, lecz jako o kimś, kto przeszedł w inną formę obecności. Może teraz spaceruje po swoich rodzinnych ścieżkach w jakimś wymiarze, do którego nie mamy dostępu. Może

prowadzi kolejną rozmowę – tym razem już bez ograniczeń czasu.

Dla mnie pozostanie przede wszystkim przyjacielem. Nie tylko profesorem, nie tylko poetą, nie tylko krytykiem. Przyjacielem, z którym można było milczeć i mówić, śmiać się i spierać, planować i wspominać. Przyjacielem, który potrafił powiedzieć: „Przyjeżdżaj częściej, pogadamy” – i w tych prostych słowach zawrzeć całą filozofię bliskości.

Ignacy, jeśli gdzieś jesteś i słyszysz te słowa – dziękuję. Za rozmowy. Za śmiech. Za zaufanie. Za wiersze, które mi powierzałeś. Za to, że byłeś.

Twoje odejście zostawia pustkę, której nie da się wypełnić. Ale zostawia też światło, które będzie świecić długo. W pamięci. W słowie. W przyjaźni, która nie kończy się wraz z ostatnim oddechem.

Do zobaczenia, Przyjacielu.

Andrzej Dębowski

Ignacy S. Fiut

Przynęty wolności

wilgotne oddechy granatowego nieba
mokrą i skoczną symfonią szeptów
krople deszczu niosą

porywisty wiatr w zakamarkach ulic
nostalgicznie wystukuje marsza
bębnąc puszkami po piwie

wyciśnięte na czarnej trawie liter
narkotyczne prawdy o wieczności
zazdrośnie książki strzegą

słońce nie może policzyć tłumów zielonych
liści w koronach drzew zaśnając oczy
ciemnymi okularami zwątpienia

pocą się ręce pękają wargi łzawią oczy
w supermarketach tłuste przynęty wolności
wabią nie tylko grube ryby ale i ludzi

one i oni od dawna wiedzą że w ich sprawie
głosu nie mają

Pirat

brodaty czerwienią jarzębiny
smukły szarą zielenią jesiona
nękany krągłymi poślądkami
i wdętymi piersiami kobiet
w zapoconym wagonie
tramwaju
kocując jak przyczajony pirat
z moim statkiem-widmem
wypchanym łupami
na plecach i dryfujemy tak
po ulicach Krakowa nad

głowami gęstych ławic
przechodniów
i tylko ta żebrząca staruszka
ten beznamiętny chudy pies
wołają o pomstę do nieba
tam jednak nikt nie słucha
nawet aniołowie poszli
na pielgrzymkę poza
granice wieczności

Wigilia Nad Dunajcem

pamięci Ojca Władysława

dni spadają liśćmi
białych kartek z kalendarza
choinki w milczeniu czekają
na śniegu białe płatki

rzeka bębni szemrane roraty
na lodowych taflach wyśpiewuje
chwałę wiekom i kłania się
świętości białych pól i łąk

zając i lis, bażant i jastrząb
grają na gęślikach głodu i strachu
kolędę przetrwania w nadziei
na pierwszą gwiazdkę na niebie

wigilijna wieczerza
na brzegach Dunajca
karmi wszystkich wędrowców
otuchą wieczności

kleję połamanego opłatka
wspomnień kolorowe światy
głosami bliskich nieobecnych
nowe Millenium puka do okna

Krakowska promocja

stoliki w kręgach zmęczenia
metalowych krzesel
– jeszcze i już puste miejsca

w markowej pianie piwa
poeci moczą wąsy muzy
– jeszcze i już żyjące słowa

dumają z zażenowaniem o Parnasie
co po nich tam pozostanie
– jeszcze i już wschodząca sława

a Pani Zosia jak fiskalna kasa
bez pardonu uwagę zadumanym zwraca
– Panowie!
to tylko poranna promocja
kaca!

Przypowieść o literacie

podglądał brat na brata
nie chciał zostać kamerdynerem
dziejów
przypadła mu w udziale
fucha literata
zmarnowanego świata

Przywoływanie pamięci

Anna Andrych ma już wyraźne miejsce w literaturze polskiej, co potwierdzają znaczące dokonania pisarskie i to zarówno w poezji, prozie, jak i w krytyce literackiej, osiągnięcia w animacji życia literackiego: założycielka wspólnie z Tadeuszem Zawadowskim i Walentyną Anną Kubik Klubu Literackiego Topola w Zduńskiej Woli, który zdaniem wybitnego krytyka Leszka Żulińskiego stał się środowiskiem znanym, rozpoznawalnym i cenionym w Polsce; w „Bibliotece Topoli” ukazało się 18 zauważonych książek (w tym w 2000 roku „Rękawiczka” autorstwa Andrych) oraz 9 antologii; od 2015 do 2021 roku (7 lat) pełniła ważną funkcję sekretarza zarządu poznańskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Jej tom poezji „Do dna” – został uznany najciekawszą książką poetycką roku na XIX Międzynarodowym Listopadzie Poetyckim w Poznaniu – oraz publikacje w 1996 roku wierszy w „Wiadomościach Kulturalnych” stały się jej początkiem „wspinania się” na literacki Parnas.

Do dna

*na naszym podwórku
dzieci nie chciały
bawić się ze mną
wołały lucyfer i cyganicha
oddawałam im swoje zabawki
za jedną chwilę*

*w cieniu wszystkich
rozkwitłych dziewcząt
wrosłałam w ściany i stoliki
parkiety odsuwały się
na odległość
jednego kroku
mężczyzny –*

*zwijałam słowa w pięści
i z zapamiętaniem
patrzyłam w oczy
kolejnych świtów –*

*straciłam pracę
utonąłam w długach
wręczono mi nakaz eksmisji*

*włóżę się z psem po ulicach
próbowałam na nas zarobić
własnym ciałem
ktoś mnie odepchnął
splunął –
nawet grzechu
nie jestem warta*

*nikt jej nie pomógł
żyć
umierać*

*nie było żadnego
ratunku
wyroku*

Należy również wymienić uzyskane wyróżnienia w konkursach (np. I nagroda Łódzkiej Wiosny Poetów), pełnione funkcje w kolegiach redakcyjnych (np. zastępca redaktora naczelnego pisma literackiego „ReWiry”, coraz bardziej obecnego i docenianego w kraju kwartalnika).

Anna Andrych jest wyjątkowo aktywnie obecna w życiu kulturalnym dzięki publikowanym felietonom, recenzjom i szkicom krytycznoliterackim, relacjom ze zdarzeń zasługujących na publiczną uwagę. Ważnym dowodem pozycji w literaturze są także recenzje znanych i cenionych krytyków: – w profesjonalnie napisanym szkicu Marianna Bocian stwierdza: *język poetycki A. Andrych „nie łąmie myślom”, jest kunsztownie logiczny. Tom „Do dna” w obcowaniu porusza do głębi naszą psychikę, umysł. Znamiennie przyrównuje jej wiersze do poezji Anny Świrszczyńskiej.*

Dariusz Tomasz Lebioda tak pisze o nagrodzonej na XIX MLP książce „Do dna”: *Poetka chciałaby poprzez swoje doświadczenia powiedzieć światu, że życie nie jest bajką, nie jest igraszką. Każdy był skazany jest na cierpienie i tylko od jego siły zależy czy wyrwie się z niego,*

Janusz Koniusz w uzasadnieniu przyznania II nagrody trzem „Listom z Amsterdamu” w Konkursie Literackim im. Zdzisława Morawskiego, zorganizowanym w Gorzowie Wielkopolskim stwierdził: *Ładnie skomponowane liryki, w których nostalgia za dalekim miastem w środku Europy sąsiaduje ze wspomnieniem „rodziny wiersz”... Gorzkie i ładne są te „Listy z Amsterdamu”, które potwierdzają, że poznańskiemu środowisku literackiemu przybyła autentyczna poetka. Gorzowski konkurs potwierdził jej talent,*

Ziemowit Skibiński tak promuje „Ucieczkę z Hadesu”: *Ascetyczność środków wyrazu zmusza do skupienia, uważnej lektury, która może zaspokoić nawet wytrawnych znawców apollińskiej sztuki.*

Za najważniejszy przyczynek dorobku krytycznoliterackiego Anny Andrych należy uznać „Wizerunki. Szkice o literaturze”, książkę wydaną w 2022 roku zawierającą 29 części-rozdziałów.

Książka ta stała się mi bliską, trwałą lekturą, ponieważ przywołuje ważne, by nie powiedzieć znaczące postaci życia literackiego, powszechnie cenione, a także w większości znane mi osobiście.

Znajdujemy w niej różnorodne gatunki pisarskie, a więc eseje, recenzje, szkice krytycznoliterackie, rozmowy (prowadzone przez Autorkę z Henrykiem Pustkowskim o jego poetyckich ogrodach i z Autorką przez Piotra Prokopiaka, który swoją twórczością nie przestaje zadziwiać), list do Autorki napisany przez Małgorzatę Osuch (poetkę wstępującą do Związku Literatów Polskich), będący pięknym przykładem sztuki epistolograficznej, dziś niestety zapominanej.

Znamienny jest tytuł pierwszego szkicu „Ważna jest pamięć”. Warto dopowiedzieć, że

to Słowo syci pamięć, co twórczo realizuje Anna Andrych. Ten szkic jest interesującym wspomnieniem wybitnego poety i krytyka literackiego Andrzeja Krzysztofa Waśkiewicza, który zapisał się twórczą obecnością w ważnej w historii współczesnej literatury polskiej grupie poetyckiej „Hybrydy”. Współtworzył „Młodzieżową Agencję Wydawniczą” – wydawnictwo i agencję ksiązkową. Tworzył i redagował pisma literackie poczynając od „Orientacji”, poprzez „Młoda Sztukę”, „Integracje”, „Gdański Rocznik Kulturalny”, kończąc na „Autografie”.

Warto dodać, chociażby z tego powodu, że będąc przez kilkanaście lat członkiem Komisji Kwalifikacyjnej ZLP, której przewodniczył A.K. Waśkiewicz, mogłem poznać cechy charakterologiczne tego wyważonego animatora życia literackiego. Trudno mu było zaakceptować zdumiewającą łatwość wydawania poetyckich czy też prozatorskich książek – bez żadnej oceny (selekcji) – przez różnego rodzaju wydawnictwa (najczęściej nieprofesjonalne). Wystarczało jedynie wpłacenie wymaganej kwoty pieniężnej.

Autorka przywołuje spotkanie 19 kwietnia 2013 roku w warszawskim Domu Literatury poświęcone wspomnieniu tego wybitnego koryfeusza literatury polskiej. Okazją stała się promocja książki Eugeniusza Kurzawy znamiennie zatytułowanej „Andrzej Krzysztof Waśkiewicz – miejsca opuszczone”. E. Kurzawa był przez kilkadziesiąt lat przyjacielem pisarza, uhonorowanego również filmem noszącym ten sam tytuł. W czasie projekcji filmu A.K. Waśkiewicz czyta „miasto (notatki)” i inne wiersze, siedząc nad rzeką, zamyślony wpatruje się w jej nurt. Hołd złożony przez Eugeniusza Kurzawę pięknie i przejmująco ocala od zapomnienia postać bliskiego i długoletniego przyjaciela. Anna Andrych zadaje znaczące pytanie: Co łączy Romana Brandstaettera i Radosława Pazurę? Potwierdza tym samym słuszność myśli: o zadawane pytania jesteśmy mądrzejsi. To właśnie pytania prowadzą nas do wiedzy, postępu, są często dowodem naszej odwagi.

Zarówno Brandstaetter jak i Pazura ulegli przemianie duchowej, nawróceniu. Brandstaetter to Żyd, który w czasie pobytu w Jerozolimie zrozumiał istotę wiary katolickiej, by następnie 15 grudnia 1946 roku przyjąć chrzest w Rzymie z rąk ojców paulinów. Jest autorem pięciu dramatów (w tym „Powrót syna marnotrawnego”) oraz dramatu „Dzień gniewu” (pokazanego przez Telewizję Polską w 2020 roku, w którym główną rolę przeora klasztoru – ukrywającego Żyda w 1941 roku – grał Radosław Pazura), tłumaczem czterech ksiąg Nowego Testamentu (Ewangelie, Dzieje Apostolskie, Apokalipsa, Listy św. Jana) oraz wybitnej czterotomowej powieści „Jezus z Nazaretu”. Radosław Pazura w wypadku samochodowym doznał poważnej kontuzji nogi, miał uszkodzone płuca. Lekarze nie dawali szans uzyskania zdrowia. Pobyt w szpitalu był dla niego czasem refleksji, rozmyślań. Uświadomił sobie, że opatrność nad nim czuwała. Otworzył się na duchowe pojmowanie życia.

(Dokończenie na stronie 18)

Przywoływanie pamięci

(Dokończenie ze strony 17)

Zrozumiał, że dla człowieka wieczny duch jest ważniejszy niż ciało. Zbliżył się do Boga. Pazura wzięła ślub kościelny w Rzymie, wraz z żoną otrzymała błogosławieństwo papieża Jana Pawła II.

Opisywanie życia i poezji Zdzisławy Jakulskiej-Kaczmarek (w rozdziale „Wyjęta z granic cienia”) przybiera formę szczególnej (unikatowej) rozmowy z poetką poszukującą drugiego istnienia, jego wzniosłości i ducha. Bo Zdzisława to mądra (zdawać się może przekorna) twórczyni, szukająca sensu życia – ważniejszego od samego istnienia. A. Andrych składa piękny, oddany pokłon zmarłej poetce, która potykała się z długimi chorobami, samotnością, a nawet osamotnieniem, ale dzielnej. Prezentuje jej stawanie się w życiu tą wielością zainteresowań (przybierających często postać pasji i entuzjazmu: fotografia, dobry film, malarstwo, sztuki wszelakie, egzotyczne podróże, poezja romskiej Papuszy, uwielbienie starych rosyjskich (i gruzińskich) melodii). Staje się jej wierną, mądrą towarzyszką życiowych i twórczych peregrynacji. Oddała pamięć poetce z Lwówka Wielkopolskiego, po prostu złożyła znaczący hołd koleżance, która nas wyprzedziła, jak mówią księża w homilii pożegnalnej. Kamień często pojawia się w wierszach Zdzisławy, która dużo o nim wie: jest trwały, można zatem przywoływać go w różnych okazjach. Co z tego, że bywa zimny, ale przynosi chłód w upalnym skwarze, można na nim spocząć, a także odpocząć. Nie tylko przy polnej drodze ma „swoje” miejsce, charakter.

Anna Andrych zauważa również twórczość zbyt łatwo zapomnianych poetów (co zdaje się być „specjalnością” naszej nacji). Przykładem może być Artur Bromberger, autor jedynego, ale oryginalnego tomu „Jako w niebie... tak i na ziemi”. Znajduje u niego podobieństwo do Leśmiana w pokazywaniu miłości poprzez uroki natury/przyrody; to jakby wizerunek nieśmiałości/subtelności uczuć: *ja celebrowałem twoje ciało / u kolan lipy* lub: *siedzieliśmy wysoko / w konarach / starej lipy... w górze czuliśmy Boga / wielką dłoń*.

Pisanie o Brombergerze staje się okazją do przypomnienia Jolanty Nowak-Weklarowej, która będąc polonistką w węgrowskim liceum, zauważyła utalentowanego ucznia i wspomagała jego poetycki rozwój.

Oryginalnie i pięknie postrzega Boga, który jest nieustającym życiem, działaniem, wolnością. Poeta doświadcza Boga i tworzenia. Bóg jest czasem, a czas poety w tajemniczy sposób w nim uczestniczy. Tak właśnie jest: Bóg jest wiecznym teraz, podobnie jak miłość, liryczna poezja. W wierszach Brombergera obecne są Kresy, a konkretnie Litwa z Wilnem (inspiracją staje się pamięć o prababce: *choroba mojej Prababki ma długi / rodowód serca* (z opowiadań mojej Babci oraz z

wiersza „W Wilnie”). Zachwyca wiersz bez tytułu zaczynający się szczególnie: *mój całodobowy Chrystus*.

Anna Andrych nie pozwala zapomnieć o laureacie literackiej Nagrody Nobla Ivo Andriću. Pamiętam ten październikowy dzień 1961 roku, kiedy ogłoszona została ta, wydająca się w tamtym czasie, nieco „egzotyczna” nominacja. Opóźniona lektura dzieł pisarza potwierdziła słuszność decyzji komitetu noblowskiego. Trudno dziś określić jakiej narodowości go przypisać, jak to często bywa z wielkimi ludźmi – chce go „mieć” wielu: Serbia, bo pisał głównie w języku serbskim i większość swojego życia spędził w Belgradzie, czy Bośnia, w której się urodził nad Driną w Wyszegradzie. Wszystkiemu jest winien rozpad w latach 1991-1995 byłej Jugosławii i proklamowanie sześciu niepodległych państw już po śmierci noblisty (w 1975 roku). Na szczęście jednak dzieła Andrića zostały włączone do programów nauczania w Serbii, Chorwacji i Bośni Hercegowinie. Zafascynowanie A. Andrych twórczością i osobą Ivo Andrića zaczęło się, jak to często w życiu, przypadkowo. Mianowicie Vladan Stamenković, niezwykle sympatyczny serbski poeta, przez ponad 30 lat mieszkający w Polsce, uczestnik kilku edycji Międzynarodowego Listopada Poetyckiego utrwalił zachwyt Anny: *nie pomiesz nawet w połowie, nie zrozumiesz przekazu tej ani innych książek Andrića dopóki nie przeczytasz „Mostu na Drinie”, koniecznie przeczytaj*. Zainteresowanie pogłębiło pisarskie credo:

Każdy nosi moralną odpowiedzialność za to, co opowiada i każdemu należy pozwolić na swobodę narracji. Lecz, jak sądzę, wolno pragnąć, by powieść, którą dzisiejszy narrator niesie ludziom swoich czasów, bez względu na jej czas i temat, nie była zatruta nienawiścią czy huktem śmiertniczoj broni, lecz w miarę możliwości powodowana miłością, otwartością i pogodą ludzkiego umysłu. Bowiem narrator i jego dzieło nie służą niczemu, jeżeli w ten czy inny sposób nie służą człowiekowi i ludzkości...

Mnie z kolei szczególnie zainteresowała ewolucja poglądu Andrića na temat uprawiania gatunków literackich. Mianowicie na spotkaniu w 1964 roku ze studentami Uniwersytetu Jagiellońskiego (na którym otrzymał tytuł doktora honoris causa oraz pięćdziesiąt lat wcześniej studiował) na pytanie dlaczego przestał pisać poezję, odpowiedział, nawiązując humorystycznie i nieco przewrotnie do Chateaubrianda: *trzeba porzucić lirę wraz z młodością. Być może, że był to u mnie proces naturalny, może pomyłką było to, że zaczęłam od poezji, państwo wybaczą mi te grzechy – zakończył zgoła kokietyjnie*.

Nie przeszkodziło mu jednak, by krótko po jego śmierci opublikowanych zostało sześć książek, w tym tom poezji.

Trochę podobnie rzecz się miała na moim sierpniowym spotkaniu autorskim w Jabłonie koło Warszawy: wybitny pisarz Eustachy Rylski na początku swej wypowiedzi mówił o przewadze prozy nad poezją, by pod koniec przyznać prymat poezji, która góruje syntezą, skrótem myśli.

Pisząc o 50. książce Heleny Gordziej „Żegnaj Erato” Anna Andrych oddaje należny hołd tej wybitnej poetce wielkopolskiej oraz animatorce życia kulturalnego, w której dorobku oprócz tomów poezji znajdują się dwie powieści, dwie książki dla dzieci i tłumaczenia poezji niemieckiej, a także baśni Andersena. Wypowiada uzasadnioną nadzieję, że będzie nadal (choć rzadziej) pisać dla swoich wiernych czytelników. W tomie pomieszczony jest wiersz zapowiadający ukazanie się nowego utworu: *...modlić się o śmierć nie wypada / przecież podarowano nam życie / do wypicia po ostatnią kroplę... Przywiązanie do ziemi magnetyzuje... nie wolno zbroczyć z wytyczonych torów*

Ma świadomość żegnania się ze światem, okno pozostaje jedynym z nim kontaktem: *...przypomniał mi się las / stare pochyłe drzewo / pod którym / spowiadałam się z żalu / z tęsknot za minionym czasem...*

Wspomina swoją wyjątkową miłość do natury: drzew, lasu, kwiatów, chwastów, a szczególnie do koni. Wyjątkowo dokuca jej samotność w tym czasie wytraconej aktywności szczególnie fizycznej, o czym opowiada w rozmowach telefonicznych.

Rozdział oryginalnie zatytułowany „W szklanej kuli sonetów” prezentuje sylwetkę Krystyny Koneckiej, tę pełną pasji i entuzjazmu poetkę, autorkę albumów fotograficznych ilustrującą historię Warszawskiej Jesieni Poezji oraz Międzynarodowego Listopada Poetyckiego w Poznaniu. Szczególnie zafascynowana jest twórczością Szekspira, jego genialnymi sonetami, dramatami i komediami. Poświęciła mu książkę „Ogrody Szekspira” (zbiór sonetów), która znalazła godne miejsce w Centrum Szekspirowskim w Stratford-upon-Avon (gdzie urodził się i zmarł ten geniusz pisarski. Wyjątkowo trafnie określił Konecką wybitny polski eseista Waldemar Smaszcz: myśli sonetami).

Z radością zauważyłem nawiązanie do bliskiego mi malarza Wojciecha Weissa i jego żony Ireny (Aneri) z powodu „Szklanej kuli”, którego dzieła podziwiam (napisałem wiersz po obejrzeniu wystawy grafik w poznańskim Centrum Kultury Zamek. Także motto przypominające manifest Antoniego Słonimskiego „W obronie wiersza” (opublikowany w warszawskiej „Kulturze”) uradowało moją pamięć.

Książd profesor Jan Kanty Pytel, mój przyjaciel, znakomity bibliista, teolog, tłumacz „Listów Więziennych” apostoła Pawła, „Apokalipsy św. Jana apostoła” (pierwsze polskie tłumaczenie bezpośrednio z greki), założyciel i długoletni prezes Stowarzyszenia im. Romana Brandstaettera, autor ważnych pozycji książkowych: „Z cienia niepamięci do światła: Wojciech Bąk, Kazimiera Iłhakowiczówna, Roman Brandstaetter”, „Terebinty prozy poznańskiej. Roman Brandstaetter, Przemysław Bystrzycki, Eugeniusz Paukszta” oraz „Świat cały rozgorzał i w ogniach stoi”.

Anna Andrych analizuje ostatnio wydaną książkę księdza profesora „Chodzę za Tobą Chryste”, będącą formą medytacji dla wszystkich na każdy dzień roku. Jedną z ostatnich jego książek „Świat cały rozgorzał i w ogniach

stoi” spotkała się z zainteresowaniem w Stanach Zjednoczonych, Japonii i Korei, została przetłumaczona, co przyniosło autorowi satysfakcję. Książd profesor Jan Kanty Pytel ma wiać, że jest dumny z członkostwa w Związku Literatów Polskich, któremu przewodniczył Stefan Żeromski. My z kolei mówiliśmy, że poznański oddział może się cieszyć z przynależności tak wybitnego człowieka, pokornego, otwartego znacząco na drugiego człowieka, erudyty pełnego cichej wiary w Boga.

Wśród zaprezentowanych postaci literackich nie mogło zabraknąć Przemysława Bystrzyckiego – legendarnego cichociemnego, który pojawił się wcześniej w realizowanym przez Annę Andrych cyklu „Ocalić w naszej pamięci”. Życie tego bohatera może z powodzeniem stanowić bezsprzeczną inspirację do pisania powieści i opowiadań: w kwietniu 1940 roku został aresztowany ojciec Tadeusz (zastępca prezydenta rodzinnego miasta Przemysła), wkrótce zamordowany przez Sowieców w Katyniu; dwa dni później wywieziony wraz z matką, babką i trzema siostrami do Kazachstanu, by w niewolniczych skrajnie trudnych warunkach pracować w kołchozie i sowchozie; w maju 1941 roku wraz z drugim Polakiem uciekł i przemierzając trzy tysiące kilometrów stepu dotarł do Charkowa, gdzie został aresztowany i skazany na dziesięć lat łagru. Dzięki układowi Sikorski-Majski uzyskał wolność, by z Armią Władysława Andersa zostać ewakuowany przez Persję i Egipt, trafić do Palestyny na szkolenie podchorążych; małą maturę zdał w Szkocji i następnie po zgłoszeniu się na ochotnika do wojska polskiego został przeszkolony w zakresie konspiracyjnej szybkiej łączności radiowej i szyfrów. Następnie został radiotelegrafistą we Włoszech. Po specjalnym szkoleniu cichociemnych został przerzucony w nocy z 22 na 23 listopada 1944 roku na placówkę odbiorczą „Wilga” w Górcach na Podhalu. Po rozwiązaniu w styczniu 1945 roku Armii Krajowej nadal w 1. Pułku Strzelców Podhalańskich utrzymywał stałą łączność z bazą we Włoszech i Anglii.

Jego udział w działalności podziemnej w wyniku denuncjacji zakończył się aresztowaniem przez Urząd Bezpieczeństwa 23 sierpnia 1945 roku. Zdążył zniszczyć (wysadzić) radiostację, by ratować zaszyfrowanych kolegów. Skazano go na 6 lat więzienia, a w wyniku amnestii skrócono mu karę do jednego roku, wskutek czego uzyskał wolność 23 sierpnia 1946 roku.

Wyjazd z Krakowa do Przemysła zakończył się rozczarowaniem, nie było w tym mieście żadnych perspektyw. Przyjechał do Poznania by zostać pod skrzydłami wuja Mieczysława, który wybudował wielkie zakłady w Wielkopolsce. Potrzebne było studiowanie ekonomii oraz filozofii na Uniwersytecie Poznańskim.

Powoli stawał się pisarzem, pisząc recenzje teatralne i teksty krytycznoliterackie w czasopiśmie (w tym społeczno-kulturalnych, jak „Nowa Kultura” i „Życie Literackie”, opowiadania („Pogrzeb”, „Warkocze”, „Opowiadania wielkopolskie”), a później powieści: „Kamienne lwy”, „Wiatr Kuzmuru”, „Pły-

nie rzeka, płynie”, „Znak cichociemnych”, „Książę”, „Nad Sanem, nad zielonookim”, „Jabłko Sodomy”. Był pisarskim mistrzem szczegółu, co udowadniają następujące fragmenty jego prozy:

...Biała płachta buja leniwie. (...) Zniosło trochę. Byłe nie lądować na drzewach. Nocą trudno obliczyć odległość. Dlatego wcześniej podkurczam nogi, jak najwyżej chwytam szelki, dłońmi prawie dosięgam linek. Stopy ciągle bujają w powietrzu. Puszczam linki, wychylam zza łokci głowę, chcę spokojnie spojrzeć w dół, stwierdzić, ile jeszcze metrów. Wałę całym ciałem o matkę naszą rodzoną – i siadam na tyłku... Wróciła na miejsce. Nie usiadła. Stała za wysokim oparciem z kręconymi kolumnkami po bokach. Słuchała. Spojrzała na mnie, odepchnęła mebel, poszła ku oknu. Na odległość ręki zatrzymała się przed szybą, otworzyła okno, rama stuknęła o ścianę...

Pisanie prozy wspomagała absolutną pamięcią, wyobraźnią oraz zapiskami w prowadzonym przez lata dzienniku.

Zapamiętałem kongenialnie określoną zmianę życia po ewakuacji z nieludzkiej ziemi (Związku Radzieckiego) do irańskiego portu Pahlawi za pomocą trzech najprostszych słów: Chleb, chleb, chleb.

Bystrzycki twórczość literacką traktował pryncypialnie, jego guru był nieprzerwanie Roman Brandstaetter (co potwierdzają „Szabasy z Brandstaetterem”).

Mam w pamięci spotkanie w prywatnym domu na poznańskich Winogradach przy ulicy Na Szańcach, na którym mówiono o najważniejszej książce Romana Brandstaettera „Jezus z Nazaretu”. W spotkaniu uczestniczył ks. prof. Jan Kanty Pytel. Przemysław Bystrzycki mówił z wielką atencją o tej powieści i jej autorze. Miałem możliwość zabrania głosu, wskazałem na ukazanie przez jej autora dynamicznego stawania się Świętej Rodziny oraz postępujących zmianach w jej wzajemnych relacjach.

Jakże pozwalał sobie nas traktować los przykładem może być wybitny prozaik: początkowo nie mógł nawet zostać członkiem poznańskiego oddziału ZLP, by później stać się znaczącym wiceprezesem zarządu oddziału.

Spotkanie autorskie w „Bibeloty Cafe”, kawiarni przy ul. Willowej w Warszawie Marii Magdaleny Poczaj stało się okazją do zaprezentowania jej dorobku poetyckiego, prozatorskiego oraz fotograficznego. Spotkanie prowadził interesująco Stefan Jurkowski, zarazem pomysłodawca i organizator dokonań promujących literaturę. Najbardziej zainteresowały uczestników wiersze i fotografie inspirowane peregrynacjami poetki po Laponii w północnej Szwecji. Prezentowała teksty pomieszczone w tomach poezji „Zmierchy koronkowe”, „Na deszczu pękniętej strunie” i „Herbata z gwiazdek”. Wskazała na ciekawą rzecz: z powodu wykonywania zdjęć w świetle zorzy polarnej trudno ustalić, czy były one robione w dzień czy w nocy. Swoje fotografie opatruje poetyckimi komentarzami. O sobie, podróżującej po Laponii, tak napisała:

Kuzynka ptaków

*Z oczami jak malachitowe jeziora
z rozśpiewaną duszą na ramieniu
w sukni lżejszej od powietrza
zapiętej po ostatnie piórko
idzie
nie dotykając ziemi
i obmyśla swój wielki odlot
nie wie
że ma tylko
jedno skrzydło*

Oryginalnie zatytułowała A. Andrych rozdział „Król Łgarzy w białych rękawiczkach wierszy”. Został poświęcony Jerzemu Fryckowskiemu, nauczycielowi w Dębicy Kaszubskiej, piszącemu znakomite wiersze, fraszki i satyry. Pod jego tekstami, wydawać się może niefrasobliwymi, kryje się wielka, głęboka wrażliwość, przykładem może być „List do córki”:

*...mijając ludzi wiele razy upadałem na twarz
ale rzadko leżałem krzyżem
w trosce o własne dłońe...
... nie wiem córeczko
być może psy idą do nieba
tak często modlą się wyciem o naszą rozważę
samą wiernością zasługują na to...*

Swoje spotkanie autorskie miał również w kawiarni Barbary i Krzysztofa Kaniewskich „Bibeloty Cafe” prezes Związku Literatów Polskich Marek Wawrzkiwicz, poeta, prozaik, publicysta, tłumacz i scenarzysta. To autor 40 książek prezentujących różnorodne gatunki literackie. Przez 12 lat był redaktorem audycji radiowych „Na łódzkiej scenach”, kierował pismami literackimi „Poezja” i „Nowy Wyrz”. Stąd słusznie nazwać go można wybitnym twórcą sztuki Słowa. M. Wawrzkiwicz zatytułował swoją prezentację: „Niestosowna miłość”, a poszczególne listy zadziwiają swoimi tytułami, jak np. „List pożegnalny Lorda Henry’ego do Jej Królewskiej Wysokości Elżbiety I”, czy „List z XIX wieku znaleziony w Petersburgu”. Ujawniają się cechy charakterystyczne twórczości jak i samego jej autora, a więc spora doza ironii, autoironii, jak również i humoru. To na pewno zaleta, która wzbogaca treść i przyczynia się do jej zdynamizowania oraz kreatywności.

Nie wypada nie przywołać Andrzeja Dębrowskiego, w którego Wydawnictwie Autor-skim i pod jego redakcją ukazały się „Wizerunki”. Autorka pisze o wierszach pomieszczonych w tomie „Do wszystkich niedostępnych brzegów”, który był prezentowany w zello-wskim Domu Kultury, wypełnionym publicznością po brzegi sali widowiskowej. Poetycznie to zabrzmiało, że ja też tam byłem (jako prezes zaprzyjaźnionego z Andrzejem oddziału ZLP) i powiedziałem kilkanaście zdań o wartościach tego tomu poezji oraz o wieloletniej znajomości z autorem, który jest autentycznym animatorem życia literackiego w Polsce (redaktor naczelny „Gazety Kulturalnej”,

(Dokończenie na stronie 20)

Przywoływanie pamięci

(Dokończenie ze strony 19)

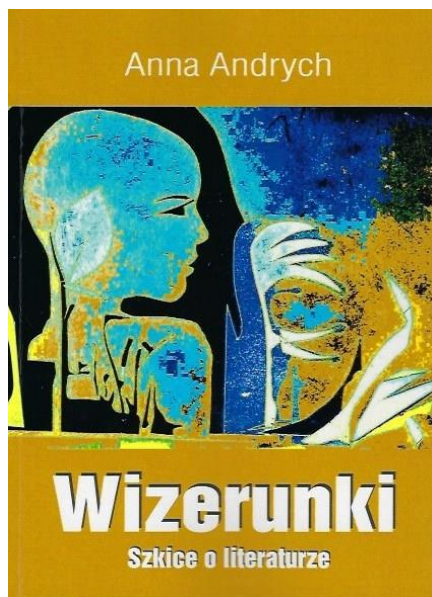
laureat Nagrody Literackiej im. Jarosława Iw-
aszewicza).

Anna Andrych potwierdziła tą książką, że należy do grupy krytyków (pisarzy), którzy nie wahają się odsunąć gdańską szafę by odnaleźć porzucone perły – twórców zasługujących na trwałą i głęboką pamięć. Jest to tym bardziej potrzebne, bowiem Polacy zbyt łatwo o nich zapominają.

Pomieszczone w „Wizerunkach. Szkicach o literaturze” treści i refleksje (zauważam – pisane w ciągu ostatnich dziesięciu lat) czytać można na wiele sposobów, nic w tej książce nie jest zamknięte. Lektura staje się inspiracją do własnych przemyśleń, poglądów, stanowisk, osądów. Żywymi stają się przywołani autorzy. Ta książka zachęca do bezpośredniego zapoznania się z recenzowanymi dziełami (utworami) – do ich przeczytania. Ramy tego szkicu nie pozwalają odnieść się szczegółowo do następujących rozdziałów tej pulsującej bogactwem znaczeń książki:

Krzysztof Pieczyński. Aktor, pisarz, poeta i... Na zdjęciu wciąż żyjemy (o Elżbiecie Musiał)
Po co(ś) nam to było. Joanna Rawik
Demokracja wśród literatów. Aleksander Nawrocki
Nie wszystko złoto, co się „świeci”. Rafał Orlewski
Prowokacje, „Sublimacje” i „Wiersze na kartki” (o Agnieszce Tomczyszyn-Harasymowicz)
Dwa światy Anny A. (tekst Teresy Januchty)

Paweł Kuszczynski



Anna Andrych, *Wizerunki. Szkice o literaturze*. Redakcja: Andrzej Dębkowski. Grafika na okładce: Lech Lament. Zdjęcie na IV stronie okładki: Roman Tomaszewski. Wydawca: Wydawnictwo Autorskie Andrzej Dębkowski, Żelów 2022, s. 202.

Podróż tam, gdzie nas nie ma

Podróże małe i duże przetaczające się tabunami w nieopisaną melancholię zmysłów. Podróże jakie odbyliśmy i jakie moglibyśmy odbyć, gdyby tylko pozwolił by nam na to czas. Większe i mniejsze rozprawy wewnętrzne i zewnętrzne także mogą być podróżami w samego siebie, w tę martwą powłokę zwaną potocznie człowiekiem. A potem, gdy uporamy się już z niewinnością, z naiwnością, pozostanie tylko oprzeć się na ramieniu (najlepiej drugiej osoby), zamknąć oczy i marzyć. Oby marzenia się spełniły. W przeciwnym razie będzie źle.

Krzysztof Środa (ur. 1959); polski pisarz, tłumacz i historyk w najnowszym zbiorze esejistycznym „Rzeczy zdarzające się w podróży” zabiera nas w jedną z takich podróży. Po drodze poznamy różnorodnych ludzi, nabędziemy nieznaną dotąd umiejętność, a wszystko, co przeżyliśmy, pozostanie z nami na zawsze.

W książce Środy znajdziemy wiele sylwetek osób, które autor „Las nie uprzedza” napotkał w swej podróży. Zapamiętywanie tych wszystkich postaci wymaga jednak pewnej osobliwości pamięciowej. Pewnego systemu archiwizującego zebrane informacje: „Nie wiem jaką metodę zapamiętywania zdarzeń, ludzi i obrazów stosuje Kapka Kassabova. Czy zabiera w swoje podróże – tak jak ja do Iranu i Armenii – kieszonkowy notes, żeby czasem, gdy zachodzi taka potrzeba, kucnąć na skraju drogi i ocalić myśl lub wrażenie zbyt cenne, by pozwolić im przepaść”. Tworzenie baz danych uporządkowuje zebrane wiadomości, sprzyja dalszej analizie i poprawia ogólny obraz sytuacji, będąc niejako obok, lepiej ocenić, czego brakuje, lub co jest nie w porządku.

Książeczka niewielka, lecz pełna wielorakich znaczeń i metafor, otoczonych wianuskiem codzienności. Krzysztof Środa beztrudnie lawiruje między literackim opisem rzeczywistości a potocznym sposobem wysławiania. Koincydencja piękna i prostoty wyznacza zupełnie nowy wzór postrzegania dzieła pisarza. A jednak to zaledwie początek poznania, drogi w nieznaną, gdzie każdy trop stanowi niewielki ślad w masie innych mniej lub bardziej znaczących śladów.

Cieniem jaki przewija się przez większość książki Krzysztofa Środy, chociaż występuje zaledwie w jednym, dwóch esejach, jest postać Edka. Mimo, że nie jest właściwie najistotniejszą wątkiem „Rzeczy zdarzające się w podróży” to jego obecność jest niemal namacalna. Z jednej strony był „zaledwie” drobnym robotnikiem: „Eddek u mnie pracował. Na Mazurach. Kupiłem tam mały dom, który wymagał sporo pracy”, a z drugiej, stał się dla autora kimś więcej niż przyjacielem. Jego nagła śmierć wyzwoliła nieznaną pokładę empatii, o których Krzysztof Środa nie miał wcześniej pojęcia, a jeżeli miał, to były one głęboko zakopane.

Krzysztof Środa napisał zbiór zawierający krótkie notatki, komentarze i opinie, jakie „w czasie podróży” przysły na myśl autorowi „Rzeczy zdarzające się w podróży”. Te oceny i wpisy silnie podkreślają osobowość Środy, mocno osadzonego zarówno w literaturze pięknej jak i w obcowaniu z ludami Kaukazu, Persji, czy Europy Środkowo-Wschodniej. Przytaczanie wieloznacznych zbitek słów oddaje mikroświat narracji.

Paweł M. Wiśniewski



Krzysztof Środa, *Rzeczy zdarzające się w podróży*. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2025.

Bogdan Stangrodzki

Wykluczenie

w oparach mgły dźwięk odbity od skały
zmienia swój tembr
nie wiadomo skąd i kiedy wyłoni się samotność
jak ustrzec się przed rażeniem racą
mniemam że wie o tym jaśmin znam go
przechodzę obok niego codziennie wieczorem
by zdążyć na ucztę przed świtem
zaczyna pachnieć nocą

zatrzymuję się na skraju lasu
bez stania na uboczu
ziemia - wiekopomną skałą
nie byłoby mnie

...zamyślenia
nad kolejnym dniem

Filozofia codziennosci

prof. Marii
Szyszkowskiej (234)



Fot. Andrzej Dębowski

Zarówno tradycyjne teorie prawa natury, jak i prawa człowieka formalnie skonkretyzowane w deklaracjach międzynarodowych, pozwalają społeczeństwu na legalny opór wobec państwa w razie ograniczania wolności człowieka. Zmiana języka, czyli odwoływanie się dziś bardziej do praw człowieka niż prawa natury, nie prowadzi do zmian merytorycznych. Dodam, że na przykład wartość człowieka wyrażał Kant używając nazwy cel sam w sobie. Źródła praw człowieka oraz prawa natury są odmienne. Prawa człowieka wynikają z konwencji międzynarodowych. Uzasadnia je godność człowieka. Nie ma zaś zgodności co do źródła prawa naturalnego. Funkcjonują następujące poglądy: istota człowieka, Bóg, rozum. Godność człowieka jako źródło prawa naturalnego pojawiła się w XX wieku i dotyczy wyłącznie teorii dynamicznych.

Przedstawiciele nurtu prawnonaturalnego mieli świadomość tego, że są uprawnienia człowieka niezależne i wyższe od stanowionego prawa. Co więcej, prawo pozytywne obowiązane jest te uprawnienia – inaczej sferę wolności – respektować. Ten pogląd płynął z poczucia znaczenia człowieka i jego fundamentalnej wartości.

Nieprzypadkowo zaczęto używać w XX wieku nazwy sprawiedliwość na określenie prawa natury. Podobnie prawa człowieka – ich przestrzeganie – zaspokaja poczucie sprawiedliwości osób żyjących w kulturze euroamerykańskiej.

Geneza koncepcji praw człowieka, jak i teorii prawa natury, to rezultat postawy oceniającej rzeczywistość oraz ukierunkowanej przemiany. Prawa człowieka są wytworem kultury. Podobnie dwudziestowieczne teorie prawa natury o zmiennej treści – sformułowane w 1896 roku przez Rudolfa Stammlera i Leona Petrażyckiego – pojmowane są jako rezultat krytycznej oceny prawa pozytywnego przez rozum człowieka, w określonym czasie i państwie. Prawo natury o zmiennej treści jest wytworem kulturowym w takim samym stopniu jak prawa człowieka. Te ostatnie określają nienaruszalność granic wolności człowieka. Natomiast teorie prawa natury o zmiennej treści należy odczytywać jako

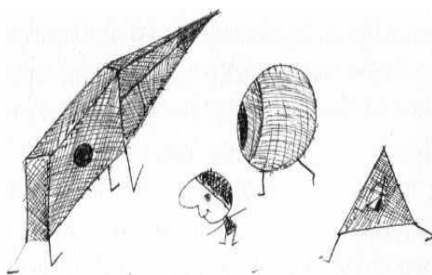
powinność dla prawodawców, by stanowić prawo pozytywne respektujące wolność człowieka.

Zagadnienie praw człowieka, podobnie jak prawa natury ma wymiar nie tylko teoretyczny, ale także praktyczny. Przykładem niech będzie Wielka Rewolucja Francuska 1789 roku czy Proces Norymberski.

Pytanie fundamentalne brzmi: jak pogodzić godność człowieka – źródło praw człowieka – z jednoczesnym określeniem go obecnie w świecie uczonych oraz publicystów mianem kapitału ludzkiego, czy zasobu ludzkiego?

Cenne jest dla człowieka znajdowanie oparcia w czymś, co jest niezależne od zmieniających się porządków prawnopolitycznych w państwie. Taką samą rolę pełni w tym godność człowieka i prawo naturalne.

W XX wieku zaczął się proces ustalania podstawowych wyższych wartości w formie konwencji międzynarodowych. Innymi słowy, ustalane są prawa człowieka. Zróżnicowanie światopoglądowe sprawia, że prawa człowieka, by obowiązywały w skali międzynarodowej, trzeba negocjować. Podpisane umowy nie określają źródła praw człowieka, ponieważ zachodzi duża rozbieżność poglądów na ten temat i trudno byłoby liczyć na porozumienie się. Wymienia się ogólnie godność człowieka jako źródło płynących z niej praw. A więc za sprawą dokumentów międzynarodowych, godność człowieka – analogicznie jak prawo natury – nabrała wartości ponadustawowej.



Rys. Jan Stępień

Zgodnie ze współczesną nauką, godność człowieka jest powszechna i niezbywalna. Natomiast godność osobowościowa jest nabywana, ma wymiar indywidualny i należy ją w sobie rozwijać. Godność mieści się w odpowiedzi na pytanie kim jest człowiek. Bywa też pojmowana jako możliwość korzystania przez każdego człowieka z dóbr materialnych i duchowych. Jest traktowana jako coś wrodzonego. Charakteryzuje nas jako istoty wyposażone w rozum oraz w wolność. Na gruncie filozofii chrześcijańskiej godność człowieka jest konsekwencją stworzenia nas na obraz i podobieństwo Boga. Ten pogląd wiąże godność z nieśmiertelną duszą człowieka.

Funkcjonuje też stanowisko zespajające nierozdzielnie godność człowieka z działalnością na rzecz ochrony życia człowieka jako wartości najwyższej. Płyne stąd postulat likwidacji broni masowego rażenia. Prądy pacyfistyczne powołują się na takie pojmowanie godności człowieka.

Wspólne jest przekonanie, że z godności człowieka wypływa niepowtarzalny zestaw uprawnień, czyli praw człowieka. Ich pogwałcenie wywołuje protesty. Sam fakt uchwalenia praw człowieka pełni doniosłą rolę nawet jeżeli są one uznawane jedynie deklaratywne. Stają się bowiem możliwością legalnego dążenia do zmian w przepisach prawa. Protest polityczny odwołujący się do gwałconych praw człowieka staje się aktem legalnym.

Historia wskazuje na zmienność poglądów na temat praw człowieka. W XX wieku sformułowane zostały nieznanie wcześniej prawa człowieka jak prawo do ochrony środowiska, prawo do nieodbywania służby wojskowej, czy prawo do poszanowania wspólnego dziedzictwa kulturowego.

Zarówno w godności człowieka, jak i w teoriach prawa natury, można odnaleźć podstawę prawną dla światowego pokoju. Zagrożenie dla istnienia ludzkości oraz naszej planety jest na tyle realne, że wartość pacyfizmu powinna być bezdyskusyjna. Nie można nie zapominać o grożącym nam pokoku cmentarnym. Prawna instytucjonalizacja pokoju doprowadziłaby do utrwalenia w świadomości społeczeństw, że wojna jest zjawiskiem na które nie wolno się godzić, że jest postacią patologii.

Od przebudowy świadomości jednostek – na co mają istotny wpływ prawa człowieka oraz teorie prawa natury – a nie od przemian ekonomicznych, zależy kształt naszego świata. Odwołując się do praw człowieka, bądź powołując się na prawo natury, można odmówić miana prawa takiemu prawu pozytywnemu, które narusza sprawiedliwość. A więc należy odmówić charakteru prawnego ustawom, które podważają wartość człowieka.

Pojmowanie prawa natury uległo daleko idącym przemianom począwszy od 1896 roku, aczkolwiek nie mniej silny jest tradycyjny nurt prawnonaturalny. Rudolf Stammler oraz Leon Petrażycki stworzyli teorie prawa natury o zmiennej treści o której była mowa. Przeszto je traktować jako niezmiennie oraz przestano w nim widzieć normę postępowania. Prawo natury o zmiennej treści określa stan jaki być powinien, stając się wytyczną dla działań prawodawczych. Obowiązuje ono jedynie prawodawców a nie całe społeczeństwo. Powstaje jako rezultat krytyki prawa pozytywnego obowiązującego w danym miejscu i czasie. Staje się więc kryterium oceny prawa pozytywnego. Jest ujmowane jako propozycja przyszłego słusznego prawa w danym czasie i miejscu. Nie podwaja porządku prawnego, ponieważ nie jest czymś gotowym lecz tym, co ma zostać urzeczywistnione. Prawo natury o zmiennej treści jest tworem rozumu człowieka żyjącego w danym państwie, w określonym czasie. Niezmiennej formie tego prawa, którą jest powinność, towarzyszy zmieniająca się treść.

cdn.

Maria Szyszkowska

Moja walka z rakiem

(79)

9 lipca 2020

Rano pojechaliśmy na zakupy. Klientów, szczególnie w Kauflandzie, było multum. W Tesco było także trochę. Najmniej jest odwiedzany Leclerc, bo i ceny są wyższe, choć najpiękniej wygląda w środku. Nie jest zagrancy, sporo przestrzeni jest między stoiskami, no i zwraca się uwagę na estetykę wyłożonych towarów. Choć niewiele tam kupujemy, ale przyjemnie jest obejrzeć same półki z towarami i tę jasną rozświetloną przestrzeń. W czasie obiadu znów obejrzałem film z cyklu „Cudowny świat przyrody”. Dzięki temu bezpłatnie podróżuję po świecie. Jeden z filmów pokazywał brunatne niedźwiedzie żyjące w parku narodowym na jednej z wysp Japonii, a właściwie na jej półwyspie, gdzie uratowano je przed zagładą, drugi zaś o sumie pospolitym, który się zadomowił w rzekach zachodniej Europy, wpuszczony tam przez wędkarzy celem wzbogacenia rybostanu rzek. Niestety, stał się groźnym drapieżnikiem. Sum może żyć do 80 lat i rósć nawet do 3 metrów długości. Sumy bywają też kanibalami. Duży sum potrafi zjeść nawet mniejszego. Dla zwiększonej populacji w niektórych rzekach brakuje już nawet dla nich jedzenia, więc zmieniają swoje obyczaje i żerują nie tylko nocą, ale i w dzień. W Saragossie w Hiszpanii, gdzie kręcony był film, sumy pospolite podkradają się nawet do kąpiących na brzegu rzeki gołębi i porywają je oraz zjadają. Podobnie dzieje się w innych rzekach zachodniej Europy. Sum potrafi nawet zaatakować człowieka i poranić. Po 18.00 oglądałem film francuski „Normandia z lotu ptaka”. Piękny, pokazujący też bogactwo i przeszłość historyczną oraz cywilizacyjne osiągnięcia Francji.

Dzwoniła Patrycja, że Paulinka jest już w Pilchowie i czeka na rodziców. Niestety, skrócono jej pobyt w Lublinie, bo kuzynka Kasia na te dni umówiła się z kim innym. Tak to z kuzynkami bywa. W mediach natomiast nadal trwa walka polityczna. Na szczęście to się niebawem skończy i przywrócona zostanie normalność. Można mieć tylko nadzieję, że nie będzie to Polska jednej partii, do której będzie należała cała władza. Wierzę w ludzki rozum i przywiązanie Polaków, przynajmniej tych wykształconych, do demokracji.

10 lipca 2020

Znów pojechałem maluchem do Rozwadowa. Spotkałem tam na drodze spacerowiczów ze Stalowej Woli, którzy niewiele wiedzieli o Lubomirskich i ostatnim właścicielu Charzewic. Opowiedziałem im trochę znanych mi anegdot i historycznych wydarzeń, także dot. ostatniego ordynata i jego córki Jolanty oraz wnuka, który jest obywatelom Portugali, a pewnie teraz także Polski, bo żonę

ma, jak pamiętam, z Leżajska. A potem chwilę podebatowaliśmy o niedzielnych wyborach. Zgadzałem się z mną, że dla dobra demokracji będzie lepiej, jak wygra Trzaskowski. Ostatni okres pokazał, że nadmiar władzy skupiony w rękach jednego człowieka prowadzi nie tylko brata na Wawel, ale do powolnej agonii wolności i demokracji. Jak to mówił jeden z wodzów rewolucji bolszewickiej w Rosji: cała władza w ręce rad(!), podobnie mówi się teraz: cała władza w ręce PiS! A za tym, ładnie brzmiącym frazesem, kryła się dyktatura uzbrojonego motłochu. Tak, motłochu, który wierzył w lepszy, bardziej sprawiedliwy świat i upragniony pokój. W fabryki bez kapitalistów, ziemię obszarniczą oddaną chłopom w użytkowanie na zawsze itp. Naprawdę. Aż wierzyć się nie chce. A czy teraz nie następuje ponowna nacjonalizacja banków, zakładów, którymi zarządzają zaufani ludzie partii Kaczyńskiego, by mieć wpływ na wszystko? Unia Europejska mogłaby tylko protestować, jak robi to obecnie, nic więcej. USA i Anglia też protestowały, jak Stalin łamał umowy z Jałty i Poczdamu, ale tylko tyle. A on robił to, co chciał. Garstki uzbrojonych partyzantów ukrywających się po lasach nie mogły zmienić losów historii. To też byli tylko straceńcy, którzy uwierzyli, że Anders przyjedzie na białym koniu, a za nim wkroczą do Polski zachodni alianci.

Podczas obiadu oglądałem filmy z cyklu „Cudowny świat przyrody”: 1. o treronach złotych z gatunku gołębiowatych, mieszkających lasów w Japonii, które odbywają w okresie lęgowym wędrówkę na niebezpieczne wybrzeże, by tam na skałach dokarmiać się so dem z wód oceanicznych, niezbędnego do wytworzenia mleczka, którym karmią swoje pisklęta; 2. o pętwalu Bryde`a, o długości ok. 15 metrów, i jego magicznej sztuce mącenia ogonem osadami, spoczywającymi ok. 45 metrów na dnie oceanu, blisko wybrzeży Tajlandii, by wystraszone małe ryby, sardele dł. 5 cm mogły mu same wlatywać do otwartej paszczy. Piękne i ciekawe. A także pouczające... Oba filmy produkcji japońskiej.

11 lipca 2020

Od rana piękna słoneczna pogoda, ale już w południe zaczęło się chmuryć i tak już było aż do wieczora. Znacznie się też ochłodziło. O godzinie 17 temperatura na termometrze 15 stopni Celsjusza. Tak ma też być jutro. Wpadła do nas Patrycja, bo chciała, by Halinka przerobiła spódnicę jej i zdaje się także Paulince. Zapytałem ją, czy zdarzyło się, że ktoś powiedział w Tarnowie, że znał jej ojca czyli mnie. Mówi, że nie. Widać, że ponad 35 lat mojej nieobecności w Tarnowie zrobiło swoje. A przecież miałem tylu uczniów i znajomych. Niestety.

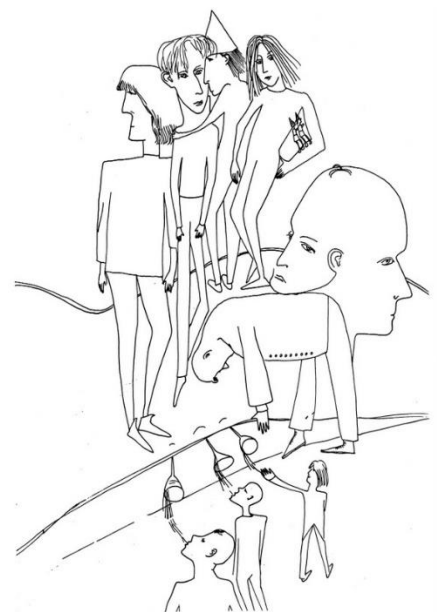
W TVP Historia obejrzałem film „Tajemnice Paryża”, pokazujące drogie paryskie hotele, rywalizujące ze sobą nowoczesnym wyposażeniem, luksusem, jedzeniem itp. I pomyślałem sobie, jaki też ten świat jest próżny. Rozumiem ludzi tam pracujących, którzy starają się swoim klientom we wszystkim dogodzić, ale nie rozumiem grzechu próżności ludzi

bogaty. Mam wobec bogactw tego świata daleko idący dystans. Nic mi w nich nie imponuje. Nie wyobrażam sobie życia innego niż mam czy prowadzę, a więc skromne, szarego człowieka, evrymana, to mi wystarcza.

Ostatnio czytałem w „Zarysie dziejów religii” esej Wierusza-Kowalskiego o protestantyzmie. Zdumiewa mnie, że ci wielcy teologowie i profesorzy, Luter, Kalwin, Zwingli, tak zaciekle walczyli o swoje racje, nie bacząc na to, że rozsadzają jedność Kościoła. Trzeba mieć niezwykle silne przekonanie o słuszności swoich racji, żeby tak zaciekle ich bronić. Dopiero dziś widać skutki tego, co się stało w XVI wieku. A ilu ludzi przez to straciło życie w walkach zbrojnych, ale i na stosach, po obu stronach. W imię rzekomej prawdy! Tak na dobre dopiero pokój westfalski w 1648 przyniósł Europie pokój, zawieszając wojny religijne. Trudno mówić bowiem o tolerancji, skoro przyjęto zasadę „cuius regio eius religio”, czyli czyja władza tego religia. Ale dziś te Kościoły potrafią ze sobą współpracować w ramach Rady Ekumenicznej i na forach międzynarodowych, mimo dzielących je poważnych różnic dogmatycznych i doktrynalnych. Jak widać te konflikty są wytworem człowieka i tylko człowiek potrafi je sam zniwelować czy złagodzić. Najgorzej, że w te spory doktrynalne czy teologiczne wciągano ludzi prostych, nie znających się na teologii, zadawalających się najczęściej prostą wiarą, modlitwą. Bo i dziś katolik czy protestant czy nawet prawosławny w podejściu do Boga niczym się nie różnią. Ilu z nich zgłębia swoją wiarę, studiuje Pismo święte? Niewiele. Najczęściej ich wiara ogranicza się do udziału w zbiorowych modlitwach, mających własną liturgię. Rzadziej do głębszych refleksji, zgłębiania tego czym naprawdę się między sobą różnią. To jest jak zawsze domena teologów.

cdn.

Miroslaw Osowski



Rys. Barbara Medajska

POEZJA

Barbara Tylman, *Jeszcze jestem*. Wydawca: Media-Expo Wawrzyniec Wierzejewski, Piła 2025, s. 42.

NAUKA, SZTUKA KULTURA

Eugeniusz Kurzawa, *Plac Słowiański 12*. Redakcja: Autor. Projekt okładki: Wojciech Olejniczak. Wykorzystano rysunek Krzysztofa Rutkowskiego. Konsultacje: Bogdan Idzikowski, Jerzy Kwaśniewicz, Ewa Narkiewicz-Niedbalec, Barbara Nau, Waclaw Patalas, Alicja Rybałko, Hanna i Jan Srecyszynowie, Grażyna Stachówna, Jan Stolarczyk, Janusz Taranienko, Zofia Wileńska. Ilustracje: ze zbiorów autora, fotografie „Tekturowca” – prawdopodobnie Waldermar Trębacz, Ryszard Niedzielski oraz autorzy nierozpoznani. Wydawca: Pro Libris – Wydawnictwo WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze, Zielona Góra 2026, s. 246.



Maria Kogut

Wesołe miasteczko

I znów ktoś włączył diabelski młyn
kręci się kręci się kręci karuzela
aż do zawrotu ego
kto odstrzeli więcej pluszaków
dla wybranki serca
tej okrutnej pani
która bierze do tańca
chłopców malowanych
porzucając na parkiecie
bezrękie i beznogie kadłuby
mieszkańców spalonej ziemi

Z gabinetu krzywych luster
dobiega chichot historii

Iwona Pinno

To już inna Wielkanoc

Jakże inna jest ta Wielkanoc,
choć płonie pascha – światło w ciemności,
burzy się porządek śmierci w tę noc
a ostateczność na zawsze przy stole zagości.

Zmartwychwstanie tego poranka już nie

potrafi
zapełnić tej jedynej zwykłej obecności,
a ja próbuję jakoś objąć to wszystko,
zjednoczyć i sens nadać ludzkiej miłości.

Baranek Boży z flagą zwycięstwa
budzi wiosnę z zimowego uśpienia,
a pieśń drozda rozsada nam skronie
ożywiając swym śpiewem zastygłe marzenia.

W tej chwili zwycięstwa życia nad śmiercią
łyzy gorące rozstania popłyną,
gdy doczesność splecie się z wiecznością
przejdziemy odwieczną śmierci dolinę.

ks. Waclaw Buryła

Ojczyzna – smutne spozrzenie

Ojczyzna –
słowo zupełnie obce i obojętne
dla większości Polaków
nie przywołujące żadnych wspomnień
i nie wywołujące żadnych wzruszeń

okazuje się że miejsce zamieszkania
wcale nie jest ważne

liczy się
matematyka

Starzy i młodzi

starzy ludzie mogą się pochwalić wieloma
chorobami
ale najbardziej dokuczliwą jest samotność
młodzi nie mają czasu zbyt zajęci sobą
mają na głowie wiele spraw i spotkań
chcą łowić szczęście w swe dziurawe sieci
zachłannie gromadzą wciąż nienasyceń
swoje mieszkanie przekształcili w hotel

starzy chcą kochać zapatrzeni w przeszłość
świadomi że czas płynie niepowrotną rzeką
zbyt pewni że bliscy odchodzą na zawsze
i że puste miejsca wciąż bolą jak rany

starzy chcą młodym pozostawić mądrość
uczyli się jej co dzień wiedzą że jest ważna
postępowa młodość nie potrafi słuchać
mówią że starzy już powinni odejść

starzy odchodzą w czeluście cmentarzy
zabierając ze sobą ulotne marzenia
a młodzi płaczą pod osłoną nocy
zabrakło im chwili na spojrzenie w oczy

wolne miejsce przy stole

pozostało nam wolne miejsce przy stole
na którym i tak nie chcemy posadzić nikogo

chleb którego mamy zbyt wiele
wolimy oddać gołębiom
niż brudnym i niepewnym przybłędom
czas także zatrzymujemy dla siebie
bo w życiu nie ma go zbyt wiele

nie mamy żadnych wątpliwości
że to właśnie nam
należy się zbawienie

Na brzegu Jordanu

nad Jordanem cichy wieczór się rozłożył
porozrzucił naokoło gęstą ciemność
głosu Jana już od dawna nikt nie słyszał
po Herodzie wiatr pozmiatał wszystkie ślady

rzeka płynie zapatrzona w Tamtą Gwiazdę
która światu oznajmiła Tajemnicę
w moim sercu kłębią się tysiące pytań
ale ciągle nie znajduję odpowiedzi

czemu mądrość ciągle tak głupawo błądzi
czyżby ludzie wciąż tęsknili za Golgotą –
jak to dobrze że przebite serce Boga
jeszcze krwawi i że nie chce się zabliznić

przyjdź raz jeszcze by wędrować po tej ziemi
która dzisiaj – wstyd to przyznać – nie jest
święta
Swoją miłość uczynił dla nas boskim miodem
przecież życie – to zwyczajne – wciąż jest
świętem

Gdyby człowiek

z podziwem patrzę na bocianie gniazdo
na bobrowe żeremie
i na mrowisko zbudowane tak misternie
bez pomocy najnowszych technologii

świat wyglądałby inaczej gdyby człowiek
wkładał tyle samo serca w budowanie domu
jak zwierzęta które nie kończą szkół
i nie posiadają dyplomów

Syn

była matką – urodziła syna
przez wiele miesięcy ssał jej piersi
chodziła na wszystkie wywiadowki do szkoły
martwiła się gorączką i różnymi chorobami
dzięki niemu miała wiele bezsennych nocy
codziennie dawała chleb i serce
bo przecież nie mogła dać niczego więcej

teraz dyskretnie ociera łzy
żeby ich nikt nie zauważył
w Domu Pomocy Społecznej ciepła jest tylko
herbata
ze smutkiem w oczach patrzy na drzwi
uważnie słucha gruchania gołębi za oknem
od wielu lat przynoszą ciągle tę samą
wiadomość

Zapomniałem wszystko
Twój syn

Miroslaw G. Majewski

Buszujący w antykwariatach

(11)

„Pewna pani dobrze wie,
złotem jest co błyszczący się
I kupuje sobie schody do nieba”
(fragment piosenki)

Z czytaniem biografii wiąże się pewne niebezpieczeństwo, chociaż nie występuje ono często. W swoim życiu przeczytałem sporo biografii, były to przeważnie biografie pisarzy. Biografia jest czymś w rodzaju mikroskopu, poznajemy życie bohatera/ów biografii od podszewki, a ta podszewka nie zawsze musie pachnieć, myślę że w jakimś stopniu jest to „powiększenie” Led Zeppelin (jak to w ogóle brzmi?) które oferuje nam Stephen Davies, biografia tej znanej kapeli ma pełny tytuł „Led Zeppelin. Młot bogów”. Posiadam wydanie IV – poprawione i uzupełnione wydane nakładem wydawnictwa In Rock z roku 2022.

No cóż, od nastolatka byłem fanem Led Zeppelin, moim ulubionym kawałkiem był piosenka „Whole Lotta Love”, myślę że bardziej niż flagowy, legendarny już kawałek „Stairway to Heaven”, który według chrześcijańskich krytyków słuchany od tyłu zawierał treści okultystyczne. Myślę że to pomówienia wzięły się z zainteresowaniem lidera kapeli Aleisterem Crowleyem najbardziej znanym angielskim okultystą zwanym „Bestią”.

Sam Jimi Page odżegnywał się od kultu diabła poprzestając na zainteresowaniu białą i czarną magią, do tego stopnia że kupił dom Crowleya i zrobił z niego muzeum magii, to wystarczyło aby uwierzyć że Led Zeppelin zaprzedał duszę diabłu, co pozwoliło mu wyprzedzić na listach przebojów Beatlesów i Rolling Stonesów stając się kapelą numer 1 zarówno w ojczystej Anglii jak i USA, gdzie kapela rozpoczęła swoją karierę.

W tej biografii jest sporo pikantnych smaczków jak ten o 14-sto letniej kochance Jimi Page’a, który to romans był wszelkimi sposobami odcinany od mediów, gdyż w najlepszym razie Jim Page zostałby deportowany, a być może podzieliliby los Romana Polańskiego.

Z pamiętnika dziewczyny wynika że Page był bardzo w niej zakochany a większość ich schadzek polegała na tym, że siedzieli naprzeciw siebie i zalewali się łzami. Rzecz jasna poza tym wyjątkowo wzniosłym uczuciem młodzi Anglicy korzystali ze swojej młodości i sławy jak tylko się dało, dziewczyny same wchodziły im do łóżka, a przed pokojem

Jimiego Page’a warowało po kilkanaście fanek. Jim czasem otwierał drzwi zabezpieczone łańcuchem i przez szparę rzucał im puszki z coca colą żeby nie uschły z pragnienia.

To prawie wszystko jeżeli chodzi o pikantne sytuacje w tej opasłej biografii. Na początku tych refleksji powiedziałem że dla mnie najlepszym kawałkiem był „Whole Lotta Love”. Ekspresja tego utworu zadziwia do dziś, chociaż minęło już „bagatela” 57 lat. Robert Plant śpiewa (o ile to można nazywać śpiewem) coś takiego:

Ooh, just a little bit

Ah, ah, ah, ah

Ah, hah, hah

Ah, ah, ah, ah, ah, ah, ah, ah, ah, ah, ah

ah, ah, ah, ah, ah, ah, ah, ah, ah, ah, ah, ah

No, no, no, no, ah

Looove!

Low-ow-ow-ow-ove!

Nie znając języka angielskiego ilekroć słyszałem ten kawałek nie miałem zielonego pojęcia o co w nim chodzi, nie wiedziałem czy Bob Plant naśladuje odgłosy kogoś obdzieranego ze skóry, czy może płonącego na stosie. Dopiero czytając biografię Daviesa dowiedziałem się że tak według Zeppelinów brzmi orgazm, nie wiem tylko czy kobiet czy mężczyzn, czy być może wspólny.

A teraz „powiększenie” odnoszące się do biografii i „Powiększenie” filmu Michelangelo Antonioniego, którego scenariusz jest zawarty w samym tytule, fotograf robiący fotki gdzie się tylko da zaintrygowany jest jedną i robi jej powiększenie aż dociera do widocznego tam trupa. Jeżeli ktoś nie oglądał tego klasyka to bardzo zachęcam. Antonioni był zaintrygowany zespołem The Who a dokładnie jego ekscesami na estradzie kiedy to gitarzysta rozwała swoją gitarę i niszczy sprzęt. Reżyser zaproponował kapeli występ w swoim filmie z propozycją aby uwiecznili taki dekonstrukcyjny występ na taśmie filmowej jego filmu. The Who odmówił. Taką scenkę zgodził się odegrać również znany zespół The Yardbirds w którym grał Jimi Page. Kiedy gitarzysta demoluje sprzęt kamera pokazuje uśmiechniętą twarz Jimiego Page jakby za sprawą okultyzmu wiedział już o biografii Stephena Daviesa która ukaże się za kilkadziesiąt lat.

Możemy się tylko domyślać skąd ten uśmiech Page’a w „Powiększeniu”.

PS.

Muszę przyznać że po lekturze tej biografii moja sympatia do Led Zeppelinu bardzo ostrygła.



Lech Nawrocki

Ruiny

Dzieci bawią się na ruinach. Nie uśmiechają się do słońca. Nie wsłuchują się w śpiew ptaków. Nie patrzą sobie w oczy. Krążą pojedynczo ze spuszczonej głowami. Pośpiesznie i bezładnie. O nic nie pytają. Nie reagują na bicie pobliskich dzwonów. Poruszają się bezszelstnie, jakby anoni-mowo. Niczego nie szukają, choć może tak to wyglądać. Gdyby była noc, mogłyby uchodzić za zabłąkane zombie. Co tu robią, zamiast grać w piłkę? Dlaczego nie łobuzują, nie rozrabiają? Co przykuwa ich uwagę? O czym myślą? Próbują coś zrozumieć? A może nie chcą o niczym wiedzieć? Jak to się stało, że są ruiny? Niepojęte. Nie stawiają murów z roztrzaskanych cegieł. Nie, dzieci tutaj nie bawią się. Nie oglądają się za siebie. Milczą. Kurczą się. Może same czują się ruinami?

Endemit

Jestem reliktem, szczątkiem, wymierającym gatunkiem, zwierzęciem żyjącym na małej, nikszej, jak kra, powierzchni, która się coraz bardziej kurczy, którą wciąż zawłaszcza obcy i wrogi świat – ludzka chciwość, hipokryzja, przeinaczenia, wszechobecna tandeta, brak tolerancji i empatii, upozowane zachowania, zwodnicze uczucia i poglądy, hałas, śmieci, nerwowy pęd. Nie ma dokąd uciekać. Nie ma gdzie się schować. Coraz mniej miejsca dla mnie. Coraz mniej powietrza i światła. Coraz mniej porozumienia. Tylko zakopać się głęboko w ziemi. Na wieki.

Spojrzenia

Są spojrzenia oczu, którym nic nie umknie. Takie, co przyszpilają, jakby chciały twarz drugiego człowieka przytroczyć pluskiewkami do korkowej tablicy w wydziale kryminalnym. Niektóre są zimne i ostre jak stalowe sztylety. Ale są też ciepłe, z błyszczącymi promykami słońca, z przyjaznym blaskiem. Bywają też nieodgadnione jak toń ciemnego i głębokiego jeziora. Zdarzają się, całkiem nierzadko, figlarne, połyskujące, pełne życziwych refleksów. Ale także bez wyrazu, ponure, martwe jak wzrok węża – neruchome, bez żadnego przekazu. Są spojrzenia oczu, którym można zaufać, w których można się zakochać i w nich się zatracić. Jednak są i takie, od których skóra cierpnie, drwiące, bezlitosne, patrzące z wysoka. Spojrzenia mogą być prawdą lub kłamstwem, miłością lub nienawiścią, wszystkim i niczym – życiem lub śmiercią.

Gazeta Kulturalna

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

Redaktor naczelny – **Andrzej Dębowski**.

Współpraca: Joanna Friedrich, Andrzej Gnarowski, Stefan Jurkowski, Eugeniusz Kurzawa, Sławomir Łuczyński, Barbara Medajska, Janusz Orlikowski, prof. Maria Szyszkowska, Andrzej Walter, Tadeusz Zawadowski.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ZELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (44) 634 10 98; 504 63 05 43; e-mail: andrzejdebowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl